



EMMA GOLDRICK

# Spóźniona miłość

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Grandell, do którego doktor Harry Mason dotarł po długiej podróży, leżało w górach. Szare, drewniane budynki szpitala przycupnęły wysoko na zboczu, ponad miastem. Pobudowano je w miejscu, skąd przez kilkadziesiąt lat wydobywano węgiel. Skały groźnie pochylające się nad niepewnym swego losu miastem wyglądały, jakby złośliwie uśmiechały się bezzębnymi ustami.

Początkowo wszystkie domy były czyste, kolorowe i pełne życia. Z biegiem lat poszarzały i posmutniały. Miasto zaplanowane dla osiemdziesięciu tysięcy teraz zamieszkiwało zaledwie czterdzieści tysięcy zmęczonych, udręczonych obywateli, głównie bezrobotnych górników. Znalazła się jednak między nimi grupa ludzi, którzy postanowili zrobić wszystko, aby Grandell się odrodziło.

Szpital o dość żałosnym wyglądzie nosił dumną nazwę „Kliniki Grandell”. Doktor Mason westchnął smętnie, gdy ostrożnie wszedł na rozchwiane schody. Przystanął porażony myślą, że w tak nędznym ośrodku zmarnuje swój talent.

Miał za sobą wieloletnią praktykę jako chirurg w szpitalu wojskowym. Obawiał się, że z trudem zdobyte doświadczenie teraz pójdzie na marne. Nie miał jednak wyboru, ponieważ w związku z redukcją sił zbrojnych lekarze, których zwolniono, znaleźli się w

trudnej sytuacji. Mason wybrał szpital w Grandell je dynie jako etap przejściowy przed znalezieniem lepszej posady.

Jego rozmyślania nagle przerwało ironiczne pytanie zadane miłym kontraltem:

- Jak długo będzie pan podziwiał te schody?

Doktor Mason odwrócił się. Za nim stała niezbyt wysoka, szczupła kobieta w nieprzemakalnym płaszczu. Spod niebieskiego beretu wymykały się niesforne, miedzianozłote loki.

- Schody są tak szerokie - mruknął - że może pani swobodnie przejść.

Przeraził się swego głosu, który pod wpływem silnego kataru zmienił się w nieprzyjemny bas.

Młoda kobieta drgnęła, przygryzła wargę i nieufnie przyjrzała się nieznanemu.

- Nie chcę narażać życia - rzuciła ostrym tonem i dodała już nieco łagodniej: - Pan tu pierwszy raz?

- Tak, dopiero przyjechałem - odparł Mason z krzywym uśmiechem. - Jestem nowym dyrektorem administracyjnym.

Kobieta zaczerwieniła się i spytała z niepokojem:

- Wie pan, kim ja jestem?

- Skąd miałbym wiedzieć? - odparł pytaniem na pytanie.

- To dobrze.

Nieznaną precyzyjnie się obok niego i wbiegła po schodach. Trzasnęła drzwiami z napisem „Izba przyjęć”.

Harry Mason palcami przeczesał szpakowate włosy i uśmiechnął się lekko. Postanowił, że któregoś dnia odpłaci owej ślicznej, lecz złośliwej istocie pięknym za nadobne.

Laurie Michelson naruszyła szpitalne przepisy, ponieważ prawie biegła i w dodatku zerkała do tyłu. Z rozpędu minęła pokój pielęgniarek, więc musiała zawrócić. Wbiegła do środka,

zamknęła drzwi i oparła się o nie, ciężko dysząc. Wszyscy przerwali rozmowę i popatrzyli na nią zdumionym wzrokiem.

- Co się stało? - spytała James, wysoka, chuda pielęgniarka.  
- Ktoś panią goni?

- Ściga mnie zły los - szepnęła Laurie. - Doktor Crinden prosił, żebym nie pokazywała się nowemu dyrektorowi na oczy, zanim mu nie wytłumaczy, co tu robię.

- Wiem, ale co z tego?

- Zderzyłam się z dyrektorem na schodach.

- Nie warto się przejmować - rzekła pielęgniarka. - Znałam jego matkę. Zawsze twierdziła, że syn jest łagodny i miły jak...

- ...głodny lew - dokończyła Laurie. - Już, już szczyrzyły kły. Może chciał się pokazać z najlepszej strony, ale ja się bałam, że lada chwila mnie ugryzie. Jest potężnie zbudowany i ma groźny wygląd. Podobno im większy mężczyzna, tym bardziej kocha matkę...

- Kto wie, może i racja - rzekła James, porozumiewawczo mrugając do drugiej pielęgniarki. - Powtórzyłam tylko jej słowa. Ale nawet nie pamiętam, kiedy to było, bo pani Mason już dawno nie żyje.

- Nie mogę stracić tej pracy! - zawołała Laurie, ponuro patrząc przed siebie.

- Ile zostało do końca studiów?

- Niecałe dwa semestry, na które muszę zarobić.

Rozległ się dzwonek. James poderwała się, mówiąc:

- Wzywają nas do pracy.

Pielęgniarki wyszły. Na korytarzu James roześmiała się zadowolona, że znowu udało jej się zakpić z Laurie. Niewinne żarty stanowiły jedną z niewielu rozrywek w ponurym szpitalu.

Laurie przysiadła na najbliższym krześle i otworzyła torebkę.

Nie znalazła tego, czego szukała, więc wysypała całą zawartość na stolik. Zdumiona patrzyła na rzeczy, których przeznaczenia nie mogła odgadnąć. A była przekonana, że nosi z sobą jedynie to, co najpotrzebniejsze. Skrzywiła się niezadowolona, gdy dostrzegła jednego nadłamanego papierosa. Od dwóch miesięcy już cztery razy próbowała rzucić palenie.

Nagle na korytarzu rozległy się głośne kroki, zamarła więc przerażona. Odetchnęła z ulgą, gdy zorientowała się, że idący mijają pokój pielęgniarek. Zduśiła papierosa w palcach i wrzuciła do kosza. Za wszelką cenę chciała wytrwać w postanowieniu zerwania z nałogiem. Czuła się jednak mocno wytrącona z równowagi, więc podeszła do okna, otworzyła je i zaczęła głęboko oddychać.

Po chwili uspokoiła się i wyciągnęła służbowy strój. Był nieco przybrudzony, co najlepiej świadczyło o tym, że często go nosiła. Uśmiechnęła się szeroko na myśl, że jej pomysł, pierwotnie uznany za poroniony, jest wykorzystywany. Włożyła różową flanelową pidżamę i kaptcie z czerwonymi pomponami. Na to niechętnie narzuciła szpitalną zgniłozieloną podomkę.

Sprawdziła na rozkładzie zajęć, że ma trzy spotkania - dwa z początkującymi lekarzami i jedno z przyszłymi pielęgniarzami. To ostatnie było bardziej wyczerpujące, ponieważ wobec pielęgniarek trudniej było udawać. Znowu rozległ się dzwonek, więc wzięła notatki i poszła do wyznaczonej sali.

Doktor Mason szedł tak prędko, że przełożona z trudem za nim nadażała. Widziała wyraźnie, że nowy dyrektor jest coraz bardziej niezadowolony. Mars na jego czole nie wróżył nic dobrego, lecz bynajmniej nie zakłócał jej równowagi ducha. Alison Hart miała sześćdziesiąt trzy lata, wiedziała absolutnie wszystko o szpitalu i na pamięć znała wszystkie minusy i braki.

- A co jest tutaj? - zainteresował się. Mason.

- Sala szkoleniowa - odparła spokojnie. - Tu studenci uczą się rozpoznawać choroby i stawiać diagnozy.

Zbliżała się pora lunchu i ze stołówek dochodziły smakowite zapachy. Mason pragnął jak najprędzej skończyć inspekcję i najchętniej poszedłby dalej, lecz nie pozwoliło mu poczucie obowiązku. Musiał dokładnie zapoznać się ze wszystkim, co wchodziło w zakres jego nowych obowiązków.

- Cholera, kto wymyślił ćwiczenia z diagnostyki? - burknął gniewnie, kiwając głową w stronę sali.

Przełożona nieznacznie wzruszyła ramionami i otworzyła drzwi. Nawet w podupadających prowincjonalnych szpitalach lekarze nie zniżali się do otwierania drzwi, jeśli w pobliżu był ktoś, kto mógł ich w tym wyreczyć. Zajęli miejsca w ostatnim rzędzie.

- Proszę, proszę - mruknął nowy dyrektor pod nosem. Zorientował się, że kobieta w pidżamie jest tą samą, którą spotkał na schodach. A zatem to nie pracownica szpitala, lecz pacjentka. Oparł się wygodnie i zaczął uważnie przysłuchiwać.

Czterech studentów stało przy biurku. Jeden z nich zaczerwienił się na widok wchodzących, chrząknął speszony i niepewnym głosem zapytał pacjentkę:

- Co pani dolega? Jak się pani czuje?

- Jak się czuję? - powtórzyła Laurie bezbarwnym głosem.

- Och, po prostu jestem zmęczona. Przez ostatnie dwadzieścia lat stale odczuwam zmęczenie. Mama zarzuca mi, że jestem leniwa, ale to nie to. Naprawdę czuję się bardzo zmęczona.

- Zmęczona - powtórzył student i zapisał coś w karcie.

- Tak, śmiertelnie.

- Na co jeszcze pani się uskarża? - spytał drugi.

- Stale mam pragnienie. Piję jak smok, ale tylko wodę, nic

więcej. Bez przerwy mam sucho w ustach i stale biegam albo do kuchni, albo do łazienki. - Oparła się o biurko. - Najgorzej jest w nocy. Ciągłe muszę wstawać. Okropność.

Studenci współczująco pokiwali głowami.

Doktor Mason uśmiechnął się pod nosem i usiadł wygodniej.

- Mają panowie jeszcze jakieś pytania? - zapytała instruktorka. - Czy trzeba przeprowadzić jakieś testy, badania?

— Chciałbym osłuchać serce i płuca - rzekł najniższy student.

- Proszę się odwrócić - polecił pacjentce - i rozpiąć pidżamę.

- Nie rozumiem.

- Proszę rozpiąć pidżamę. Chcę panią osłuchać.

Laurie niechętnie wykonała polecenie.

- Proszę głęboko oddychać.

- Zimno mi! - poskarżyła się, mimo że nie było tego w notatkach.

- Głęboki wdech - powiedział student. - Teraz wydech.

Laurie zaczęła chichotać.

- Proszę się nie śmiać, tylko oddychać jeszcze głębiej - nakazał przyszyły lekarz. - A teraz odwrócić się do mnie i...

- Hola, hola! Chyba nie będzie pan mnie dotykał...

- Robię tylko to, co konieczne. Nie chce pani wrócić do zdrowia i sił?

Pacjentka westchnęła i skromnie spuściła oczy. Student, bardziej speszony niż ona, rozchylił pidżamę i przesunął palcami pod i między jej pełnymi piersiami. Dyrektor drgnął nerwowo, co nie uszło uwagi przełożonej, która lekko wzruszyła ramionami i pokiwała głową. Po zakończeniu badania Laurie leniwym gestem zapięła pidżamę.

- Czy któryś z panów jeszcze coś proponuje? - spytała instruktorka. - Jeśli nie, proszę postawić diagnozę.

Doktor Mason pochylił się w stronę przełożonej i rzekł półgłosem:

- Chciałbym przeczytać te ich diagnozy.
- Dobrze. Wychodzimy?
- Tak.

Studenci poszeptali między sobą i każdy zapisał swą diagnozę. Instruktorka zebrała notatki, a Laurie zerknęła na zegarek, aby sprawdzić, czy badanie nie przeciągnęło się poza planowany czas. Spieszyła się, ponieważ miała jeszcze próbę w teatrze w samym centrum Grandell. Chciała stawić się punktualnie, aby nie spóźnić się trzeci raz w ciągu tygodnia.

Rzuciła porozumiewawcze spojrzenie instruktorce, która nieznacznie skłoniła głowę, co oznaczało, że zajęcia się skończyły. Laurie wyszła i tuż za drzwiami natknęła się na dyrektora i przełożoną. Po półrocznej pracy w charakterze pacjentki, bez zażenowania chodziła po szpitalu w pidżamie i podomce. Toteż zaskoczyło ją, że spieszyła się na widok nowego dyrektora. Pędzonym krokiem poszła w głąb korytarza.

- Proszę pani! - zawołał Mason.

Udała, że nie słyszy i uciekła do pokoju pielęgniarek. Pospiesznie narzuciła płaszcz na pidżamę, wzięła bieliznę i niemal wybiegła. Dyrektor stał przy drzwiach wahadłowych.

- Proszę nie zapominać - rzekł urzędowym tonem - że w szpitalu się nie biega.

Laurie minęła go bez słowa, więc powtórzył:

- Tu obowiązuje zakaz biegania. - Pokręcił głową niezadowolony z tego, że młoda kobieta go zignorowała i mruknął pod nosem: - Chyba się starzeję.

- Ja też! - zawołała, zbiegając ze schodów.
- Chwileczkę! - krzyknął Mason.



Wiatr hulający wokół szpitala obsypał biegnącą złotymi i czerwonymi liśćmi. Laurie szczerzej otuliła się płaszczem, przy czym z ręki wypadł jej stanik.

- Cos' pani zgubiła! - zawołał dyrektor.
- . Sama widzę! - odkrzyknęła, nie odwracając głowy.

W gmachu uniwersytetu od razu weszła do budki telefonicznej i o ułamek sekundy ubiegła dwóch studentów, którzy od razu zaczęli niecierpliwie stukać w szybę. Rzuciła im pogardliwe spojrzenie, odwróciła się i spokojnie wykręciła numer.

- Mamo, jestem już na uczelni — powiedziała. Studenci nadal uparcie stukali, więc zakryła słuchawkę ręką, uchyliła drzwi i syknęła: - Ten telefon jest zarezerwowany dla starszych. - Po czym rzekła do słuchawki: - Przepraszam, to nie do ciebie, mamusiu. W szpitalu powiedziano mi, że mam przedzwonić. O co chodzi?

- Znowu o czymś zapomniałam - odparła matka, której pamięć pogarszała się w zastraszającym tempie. - Dziś w klubie jest przyjęcie. Zaczyna się koktajlem o szóstej, a kończy po kolacji.

- Na czyją cześć się zbieramy?

- Nie wiem - przyznała się matka. - Zdaje się, że... Nie, nie przypominę sobie. Ale jestem pewna, że to ważna osoba.

- Musi to być ktoś bardzo ważny, skoro aż taka feta. Wiesz chociaż, czy to kobieta, czy mężczyzna? Zresztą i tak nieistotne. Nie martw się, mamo, na pewno wrócę po czwartej, więc zdążymy wystroić się i godnie powitamy tę szyszkę.

- Dobrze. — Pani Michelson ucieszyła się, że jeden problem został rozwiązany. - Ale chyba nie pojedziemy twoim samochodem, co? Gdy siedzę obok ciebie, mam wrażenie, że to moja ostatnia jazda.

- To nie wina samochodu, ale moich umiejętności - pocieszyła ją córka. - A zatem do zobaczenia.

Laurie wyszła z budki nieświadoma, że bielizna wysuwa się jej z rąk.

- Następnym razem proszę mi nie przeszkadzać - groźnie rzuciła w stronę studentów, nadal stojących przy drzwiach.

- Coś pani zgubiła! - krzyknął jeden z nich.

Odwróciła się i natychmiast zaczerwieniła, gdy na podłodze zobaczyła stanik.

- O, do licha - mruknęła zawstydzona.

Niższy student podał jej zgubę, spuszczając oczy. Podziękowała i w ostatniej chwili wskoczyła do windy.

Podczas dwugodzinnych zajęć nudziła się jak mops. Dawno zdażyła przekonać się o prawdziwości stwierdzenia, że ludzie mający chociaż odrobinę talentu występują na scenie, natomiast do uczenia innych zabierają się miernoty. Mimo to nie zapominała, że aby coś w świecie znaczyć, trzeba posiadać dyplom uniwersytecki, i to z dobrymi ocenami. Dlatego pracowała w pocie czoła i łudziła się, że nie wszystkie krople potu pójdą na мамę.

Chwilami przestawała słuchać wykładu i wtedy oddawała się marzeniom. Między innymi o nowym dyrektorze. Jako młodzianka dziewczyna uważała, że mężczyzna musi być i dobry, i przystojny. Potem doświadczenie nauczyło ją, że nieważne, czy jest przystojny, ponieważ naprawdę liczy się to, czy można na nim polegać. Najistotniejsze zaś, aby miał dobrą posadę. Doktor Mason miał zapewnioną pracę, a przy tym był bardzo przystojny. Minusem było jedynie to, że wiele lat spędził w wojsku, które nie wpływa dodatnio na charakter. Ciekawe, ile lat dyrektor znajdował się pod zgubnym wpływem wojska...

Zajęta myślami nie usłyszała dzwonka i tego, że inni zerwali się z miejsc i opuścili salę. Gdy nagła cisza sprowadziła ją na

ziemię, zebrała notatki i poszła na parking. Do domu zajęchała punktualnie o wpół do piątej.

- Nareszcie jesteś - zawołała matka. - Pospiesz się. Idź się przebrać i nie marudź przy tym za długo.

- Po co mam się spieszyć? Do szóstej mnóstwo czasu.

Laurie uśmiechnęła się, gdy przypomniała sobie, że ojciec żartobliwie, ale często zwracał się do żony per pani Kurzymóźdzek. Mówił to tak ciepłym tonem, że matka wcale nie czuła się dotknięta. Ojciec zmarł przed czterema laty i obie głęboko przeżyły jego śmierć, ale czas robił swoje i wspomnienia zaczynały się zacierać. Matka z córką zajmowały duży dom, w połowie spłacony przez ojca. Rodzice Laurie nie dorobili się niczego więcej, a po śmierci męża pani Michelson została z niewysoką rentą. Pieniądzy wystarczyłoby na skromne życie, lecz matka, która nie mogła zapomnieć o lepszych czasach, źle gospodarowała tym, co obecnie miała. Laurie musiała sama zarabiać na naukę i ubranie. Coraz częściej czuła się jak Kopuszek.

Nie znaczy to, aby rozczułała się nad sobą. Począwszy od liceum, stale dorywczo pracowała w ciągu roku szkolnego, a nawet podczas wakacji. Dzięki temu oraz stypendium przebrnęła przez trzy lata studiów. Z utęsknieniem czekała na dzień, w którym otrzyma dyplom, i na chwilę, w której zjawi się zaczarowany książę. W jej marzeniach książę przybywał akurat wtedy, gdy wracała do domu z dyplomem.

Zajrzała do szafy, jakby spodziewała się, że zobaczy wiele toalet. Niestety, wisiały tam tylko dwie suknie: jedna klasyczna, czarna, odrobinę przyciasna w biodrach, a druga brązowa z dekoltem, który wywoływał komentarze znajomych matki. Laurie rzuciła monetę i wylosowała czarną suknię. Nie włożyła halki

w obawie, że suknia pęknie w szwach. Ubierała się ostrożnie, ze strachem.

Matkę zastała w bawialni. Pani Michelson w jednej ręce trzymała kieliszek, w drugiej wąską, białą, kopertę.

- Jesteś gotowa?

- Oczywiście, ale jeszcze mamy czas. Co jest w kopercie?

- Nic ważnego - odparła matka, lekko się rumieniąc. - Z banku. Przysyłają mi tę ofertę co miesiąc.

- A ty nie odpowiadasz, tak?

- Ani myślę, chociaż są tacy uparci.

Nagle bacznie przyjrzała się córce i nakazała:

- Stań przy oknie.

Laurie posłusznie acz niechętnie podniosła się z fotela. Stała na tle okna i jej sylwetka wyraźnie zarysowała się w promieniach słońca.

- Jak ty wyglądasz! - krzyknęła zgorzona matka. - W żadnym wypadku nie możesz iść tak ubrana.

- Co mogę, a czego nie mogę, nie ma znaczenia z powodu braku toalet.

- Ale wszystko widać... Moja droga, musisz przynajmniej włożyć coś pod spód.

- Nie mogę, mam, bo nic się nie zmieści. A brązowa suknia ma za duży dekolt. Więc albo idę w tej, albo zostaję w domu; Możesz jechać sama, bo bardzo chętnie sobie odpocznę.

Córka zbuntowała się po raz pierwszy od wielu lat, więc Maybelle Michelson natychmiast ustąpiła.

- Nie mogę jechać bez ciebie, bo zaczną się plotki. Mam nadzieję, że... Tylko proszę cię, błagam, nie stawaj pod światło. Wiesz, kochanie, czasami mam już dość tego, co wypada, a

czego nie wypada. Nie rozumiem, dlaczego to znoszę. Wybacz, ale czuję, że muszę na chwilę się położyć.

Laurie odprowadziła matkę wzrokiem. Po śmierci męża pani Michelson bardzo się postarzała i niestety nie nauczyła się, że powinna żyć inaczej. Laurie pragnęła być niezależna.

- Muszę odsunąć się od mamy środowiska - mruknęła do siebie ze stanowczością - i znaleźć przyjaciół, którzy zaakceptują mnie taką, jaka jestem. Ciekawe, jak mama na to zareaguje.

Panie zajechały na miejsce tuż przed szóstą. Przed klubem stało już wiele samochodów.

- Popatrz, przyjechało więcej osób niż poprzednio - ucieszyła się pani Michelson. - Może ten nowy projekt chwyci i całe miasto pójdzie za naszym przykładem.

- Zaskakujesz mnie, mammo. Trzy czwarte mieszkańców to górnicy. Czy chcesz, żeby wstąpili do naszego klubu?

- Uchowaj Boże! Co też przyszło ci do głowy? Żony górników w naszym klubie? Nie do pomyslenia!

- Gdzie równość, za którą rzekomo się opowiadasz? - nie ustępowała córka. - Na pewno trochę więcej demokracji wyszłoby miastu na dobre. Przecież podczas wojny wszystkie kobiety należały do klubu i były mile widziane, prawda?

- Kochanie, po pierwsze, wojna była dawno temu, a po drugie, wtedy to było zupełnie co innego. No, ale dość już na ten temat. Widzę, że w środku jest już sporo osób. Idziemy.

Laurie bez słowa, potulnie poszła za matką. Budynek, w którym mieścił się klub, był tak stary, że nikt nie pamiętał czasów, gdy go postawiono. W dużej sali na podwyższeniu stało kilka stolików, przy których mieli zasiąść mówcy. Pani Michelson wolno posuwała się naprzód i mijanym osobom przedstawiała córkę, jak gdyby przyszły po raz pierwszy. Laurie robiła

dobrą minę do złej gry i miała nadzieję, że wieczór minie bez większych nieprzyjemności. Niestety, spotkała ją duża przykrość już na samym początku.

- Muszę ci przedstawić pana Hansa Depnera - nagle oświadczyła matka. - O, jest tutaj.

Stanąła jak wryta i chciała powstrzymać matkę, ale było już za późno.

- Mamo - szepnęła zdenerwowana - nigdy ci tego nie daruję, jeśli wiedziałaś, że on tu będzie i nic nie powiedziałaś! To gbur, jakich mało!

- Przesadzasz - rzekła pani Michelson z całkowitym spokojem. - Nie oczekuj zbyt wiele od mężczyzn... Jestem pewna, że pan Depner zawsze zachowuje się jak dżentelmen.

- Tacy dżentelmeni powinni się smażyć w piekle - syknęła Laurie. - Łajdak rzucił się na mnie i wolę nie myśleć, jaki byłby koniec, gdyby nie przybiegł nocny stróż.

- Wiem, że jesteś tak wrażliwa jak ja kiedyś. Ale nie wierzę, żeby syn prezeski Ligi Kobiet był aż taki zły. Depnerowie od stu lat są ważnym rodem w naszym mieście. Błagam cię, nie rób scen.

- Przysięgam, że jeśli ten bazylipek zbliży się do mnie, zrobię scenę, jakiej nikt tutaj nie widział.

- To lepiej wracajmy do domu. - Pani Michelson wyraźnie się zdenerwowała. - Zachowuj się jak na damę przystało, bo inaczej ojciec przewróci się w grobie.

~ Trudno, niech się przewraca - burknęła Laurie.

Matka spojrzała na nią zgorziona i otworzyła usta, ale nie zdążyła nic powiedzieć, ponieważ podszedł Hans Depner.

- Dobry wieczór - rzekł, kłaniając się. - Dawno nie miałem przyjemności spotkać miłych pań.

- Co za czelność! - warknęła Laurie. - Przyjemność! Dobre sobie! Mam doskonałą pamięć i długo nie wybaczam.

- Czy sugeruje pani, że mnie trzeba coś wybaczyć? - spytał Hans beztrzesko. - Czyżbym kiedyś postąpił niewłaściwie?

- Niewłaściwie! - syknęła Laurie z hamowaną wściekłością. - Pańska bezczelność przechodzi wszelkie granice.

- Czy mogłaby pani powiedzieć, o co chodzi? - zapytał ktoś za jej plecami.

Odwróciła się i stanęła oko w oko z doktorem Harrym Masonem.

- Ależ, panowie - pospiesznie wtrąciła pani Michelson. - Nie róbcie awantury. Pan Hans Depner jest synem wysokiego urzędnika i ma przed sobą wspaniałą przyszłość. Już się mówi o tym, że niebawem otrzyma intratną posadę w banku.

Laurie pomyślała z goryczą, że matki obarczone niezamężnymi córkami są pozbawione wstydu, ponieważ myślą o zięciach tylko w kategoriach finansowych. Szczęście córek wcale się nie liczy.

- Pani wybaczy, ale mnie interesuje, co ten młody człowiek zrobił w przeszłości, a nie, co robi w przyszłości.

Laurie w duchu ucieszyła się, że znalazł się choć jeden prawdziwy mężczyzna. Zaczęła się zastanawiać, ile plusów posiada doktor Mason i czy chciałaby mieć takiego męża.

Tymczasem Hans Depner, wystraszony nie na żarty, cofał się krok za krokiem. Nawet podniósł ręce do góry,

- Bardzo chętnie z panem porozmawiam - rzekł roztrzęsionym głosem. - Ale bez rękoczynów. Jest pan chirurgiem, prawda?

Mason przytaknął skinieniem głowy.

- Nie chciałbym uszkodzić panu twarzy, bo bez niej będzie pan miał trudności ze znalezieniem pacjentów - dodał Depner.

- Bardzo pan łaskaw - rzekł Mason z ironią - ale, moja twarz liczy się mniej niż dłonie. Mam wprawdzie delikatne, ale bardzo mocne ręce... Radzę grzecznie przeprosić tę panią i zniknąć. Wtedy zapomnimy o całym incydencie.

Depner zaczerwienił się po korzonki włosów i zawahał. Po namyśle uznał widocznie, że lepiej przyjąć postawione warunki. Niechętnie przeprosił Laurie i odszedł.

Pani Michelson ucieszyła się, że nieznajomy jest lekarzem. Pomyślała, że jeden chirurg w garści jest lepszy niż dwóch urzędników przy kasie. Wymownie spojrzała na córkę.

- Mamo, pozwól, że przedstawię ci pana doktora Masona.
- Harry Mason - rzekł chirurg, wyciągając rękę.
- Maybelle Michelson. Mój nieodżałowanej pamięci mąż też miał powiązania z medycyną. Był farmaceutą. Prowadziliśmy największą aptekę w mieście.

Mason uprzejmie skinął głową.

Na policzki starszej pani wypełzł lekki rumieniec, natomiast Laurie zaczerwieniła się za matkę i za siebie. Trzymała w ręku piwo, które barman tak przygotował, że wyglądało jak whisky. Zadowolona, że w tak niezręcznej chwili ma coś w ręku, uniosła szklanekę.

- Co pani robi?! - krzyknął Mason.

Chciał zabrać szklanekę, lecz obsunęły mu się palce. Laurie podniosła piwo do ust. Mason wytrącił jej szklanekę, która spadła na podłogę i piwo opryskało najbliższych stojących.

Pani Michelson zbladła, a Laurie rzuciła Masonowi spojrzenie pełne nienawiści.

- Jak pan śmie? - wycodziła przez zaciśnięte zęby.
- Chciała pani popełnić karygodne głupstwo - warknął lekarz.

Kilka osób przerwało rozmowę i zwróciło się w ich stronę.



Pani Michelson oniemiała, więc bez słowa patrzyła na człowieka, który przed chwilą bardzo się jej podobał.

- Pani córka była dziś w szpitalu - powiedział Mason - i stwierdzono u niej cukrzycę. A pani pozwala jej pic alkohol? Co za brak rozsądku!

- Cukrzyca? Niesłychane! Nikt z rodziny Michelsonów nigdy nie miał cukrzycy. Tylko biedni ludzie...

- Czyli właśnie my - przerwała jej córka.

- Nie gadaj bzdur, Laurie Lee. Może ten pan ma rację, że robisz głupstwa. Tyle razy cię prosiłam, żebyś nie zadawała się z mieszkańcami South Water.

- Widzę, że wam obojgu czegoś nie dostaje - burknęła Laurie niegrzecznie. - Mamo, jeszcze nikt nie nabawił się cukrzycy tylko dlatego, że chodził jakąś ulicą. Cukrzyca nie jest zakaźną chorobą, którą się łąpie od biedoty. A jeśli pan - zwróciła się do Masona - bez badania stawia diagnozy, to współczuje, pańskim pacjentom. Nie byłam w szpitalu po diagnozą... to znaczy... właściwie chodziło o diagnozę, ale to była fikcyjna diagnoza. - Odwróciła się na pięcie i odeszła.

- Laurie! - zawołała pani Michelson słabym głosem.

Widząc, że córka jej nie słucha, spojrzała na Masona i powiedziała z wyrzutem:

- No i widzi pan?

- Co mam widzieć? - rzucił Mason wojowniczym tonem.

- Mnie pan pyta?! - Pani Michelson była bliska płaczu.

- Moja córka jeszcze nigdy tak się nie zachowała,

- Widocznie kiedyś musi być pierwszy raz - mruknął Mason niepewnie. - Nie pojmuję, dlaczego się obraziła, ale kobiety w ogóle trudno zrozumieć.

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Słucham, co panowie mają do powiedzenia?

Czterech studentów, siedzących naprzeciwko nowego dyrektora, spuściło głowy i żaden się nie odezwał.

- Przecież to nie był jakiś wyjątkowo trudny przypadek - ciągnął doktor Mason. - Wszyscy panowie przeprowadzili wywiad z pacjentką, zrobili obszerne notatki i postawili podobną diagnozę. Kto powinien był powiadomić pacjentkę?

Student najniższy wzrostem, ale najstarszy wiekiem, ośmielił się podnieść rękę.

- Felder - przedstawił się. - Powiedziano nam, że pacjentkę wolno powiadomić dopiero po otrzymaniu wyników analiz. A kiedy otrzymaliśmy wyniki, okazało się, że nie mamy jej nic do powiedzenia.

- Dlaczego?

- Wszyscy zaleciliśmy zbadanie poziomu cukru we krwi...

- I jaki był wynik?

- Osiemdziesiąt sześć - odparł Felder z lekkim ociąganiem. - Sprawdzano trzy razy. Po obfitym śniadaniu wyszło tyle samo. Byłem świadkiem przeprowadzania trzeciej analizy i na własne oczy widziałem, że wszystko zrobiono prawidłowo. Doszedłem więc do wniosku, że pacjentka nie może mieć cukrzycy.

Harry Mason potarł ręką zarośnięty podbródek. Nie zdążył się ogolić, gdyż prosto z imprezy w klubie poszedł na salę

operacyjną. Przez całą noc operował ofiary zderzenia się czterech samochodów.

Znużony mruknął niewyraźnie: „żegnam panów” i ręką wskazał drzwi. Studenci zerwali się z miejsc i pospiesznie wyszli. Dyrektor zajął się podpisywaniem dokumentów, ale skończył tę pracę dopiero o trzeciej po południu, ponieważ trzykrotnie wzywano go na konsultacje, a ponadto musiał jeszcze przeprowadzić jedną nagłą operację.

W drodze do domu i przez resztę wieczoru pani Michelson nie zamykały się usta. Nie potrafiła mówić o nikim innym, jak tylko o doktorze Masonie.

- Co za okazały typ mężczyzny. W dodatku lekarz. Jak mogłaś być tak nieuprzejma? Gdybyś tylko chciała, mogłabyś owinąć go sobie wokół palca i wyjść za niego choćby jutro. Na pewno zarabia tyle, - że od razu mogłybyśmy naprawić dach, pomalować werandę, usunąć usterki... A ty, jak się spisałaś? Nie wiedziałam, że mam tak nierozsądną córkę.

- Mamo, jeśli tylko o małżeństwo ci chodzi, możesz sama za niego wyjść. Nie sprzątnę ci takiego kaska sprzed nosa - gniewnie rzuciła Laurie. - Wysoki, dobrze zbudowany, dobrze ustawiony... Czego jeszcze żądać?

- Nie gadaj byle czego - obruszyła się matka. - Przed trzydziestu laty na pewno nie przepuściłabym takiej okazji, ale teraz... To wielki człowiek, ale jesteś za młoda, żeby zrozumieć, co to znaczy. Kobieta w twoim wieku i z twoją urodą... Mogłabyś bez trudu go usidlić.

- Nie mam najmniejszej ochoty żadnego mężczyzny łapać w sidła - syknęła Laurie i wyszła z pokoju.

Rano wstała z okropnym bólem głowy. Do szpitala pojechała

dużo wcześniej, byle tylko uniknąć spotkania z nowym dyrektorem. W pokoju zastała trzy młode pielęgniarki, których nigdy nie zapraszano na bale w klubie. Wszystkie chciały dowiedzieć się, jak było, więc zasypały Laurie pytaniami.

- Nie bawiłam się dobrze, bo mnie coś takiego wcale nie bawi - niechętnie odpowiadała. — Nie tańczyłam ani z doktorem Masonem, ani z nikim innym. W ogóle nic nie robiłam.

- A ja w ogóle nie wierzę w to, co pani mówi.

- Trudno - mruknęła Laurie i nagle jęknęła.

- Co się stało?

- Zapomniano o instrukcji. Dzisiaj mam zapalenie żył, a nie wiem, jakie powinny być objawy.

- Proste i łatwe do zapamiętania - pocieszyła ją pielęgniarka w okularach. - Zakrzepy są na ogół w nogach. Ostry ból mięśniowy, czasem rwie w całej nodze i jest człowiekowi gorąco. Jeśli skrzep się urwie i dojdzie do serca, może nastąpić nagła śmierć...

- O Jezu! - wyrwało się przerażonej Laurie. - To gorsze niż cukrzyca. - Nagle poczuła się źle. - Głowa też boli?

- Bardzo rzadko. Nie należy przesadzać z symptomami. Proszę nie zapominać, że pani jest niezbyt schorowaną pacjentką, a biedni studenci i tak niewiele umieją. Grunt to NUDA.

- O czym pani mówi? Jaka nuda?

- Nasze motto: Nie Udawaj Diabła, Aniele. O, czas na nas. Pielęgniarki wyszły na dyżur.

- Dobrze im tak mówić - mruzczała Laurie, przebierając się., - One już wszystko wiedzą.

Zabrzmiął dzwonek oznaczający początek zajęć. Laurie, w krzywo zapiętej bluzce i niedbale włożonej spódnicy, potargała sobie włosy, ponieważ uznała, że dziś powinna wyglądać niechlujnie. Wytknęła głowę na korytarz, rozejrzała się, aby spraw-

dzić, czy w pobliżu nie ma dyrektora i pobiegła do wyznaczonej sali.

- Trzy minuty spóźnienia - szeptem skarciła ją instruktorka.

- Przepraszam, nie mogłam szybciej przyjść - głośno powiedziała Laurie. - Noga mnie boli, więc ledwo się dowlokłam. Ostatnio coraz wolniej chodzę, a w dodatku jest mi raz ciepło, raz zimno.

— Proszę panów bliżej - zwróciła się pielęgniarka do czterech studentów. - Pacjentka narzeka na bóle w nodze.

Studenci mieli trudności z postawieniem diagnozy, więc badali pacjentkę przez kilka godzin. Dopiero około pierwszej jeden z nich nagle krzyknął:

- Wiem! Zapalenie żył!

Z trzech studenckich piersi wyrwał się jęk.

- To takie oczywiste - mruknął Felder. - Od razu trzeba było postawić taką diagnozę. Jakie leczenie zaordynujemy?

- Nie tak prędko - wtrąciła instruktorka - bo to poważny przypadek. Jest zakrzep. Jeżeli się oderwie i dostanie do serca, sytuacja zrobi się niebezpieczna.

- Można podać serię zastrzyków, żeby rozpuścić zakrzep i przywrócić normalne krążenie... - zaczął jeden ze studentów.

- Teraz wszystko proste jak drut. Najważniejsze, żeby wykryć chorobę - zauważył drugi. - Szkoda, że zmarnowaliśmy tyle czasu i przepadł nam lunch.

- • Chyba jeszcze znajdą się jakieś resztki - pocieszył go kolega. - Zapraszamy także pacjentkę, bo warto się posilić.

Laurie ochoczo skorzystała z propozycji, ponieważ mocno zgłodniała. Zeszła do suterenu, lecz na progu stołówki niepewnie stanęła. Przy stoliku w głębi sali dostrzegła doktora Masona. Widocznie i on nie zdążył zjeść lunchu o właściwej porze.

Dyrektor wstał i szerokim gestem zaprosił wszystkich do stołu, przy którym siedział.

- Czy postawili panowie prawidłową diagnozę? - spytał.
- ..- Jednomyślną i właściwą - odparła za nich instruktorka.
- Tyle tylko, że dojście do niej zajęło mnóstwo czasu.

Podczas posiłku trwała ogólna, ożywiona rozmowa. Nagle dyrektor powiedział:

- Muszę panów uprzedzić, że nawet jednomyślna diagnoza czterech lekarzy może być błędna. W szpitalu nie obowiązuje zasada większości głosów. - Spojrzał na Laurie, która skuliła się pod jego wzrokiem i dodał: - O ile się nie mylę, nasza pacjentka wczoraj umierała na cukrzycę.

- Może. - Felder niedbale machnął ręką. - Teraz najważniejsze, że ja umieram z głodu.

- Życzę panom smacznego, ale panią Michelson proszę na chwilę rozmowy. Pozwoli pani?

Laurie westchnęła, z żalem spojrzała na gulasz, ale posłusznie wstała. Na szczęście dla niej doktor Mason jeszcze przez chwilę rozmawiał z pielęgniarką, więc zdążyła przełknąć co nieco i zaspokoić pierwszy głód.

- Dobrze, że się pani nie udusiła. Niezdrowo tak prędko jeść - skarcił ją dyrektor, gdy weszli do jego gabinetu. - Proszę usiąść - dodał, uprzejmie podsuwając krzesło.

Laurie nieśmiało przysiadła na brzegu, lecz odważnie powiedziała:

- Nie należę do personelu szpitala.
- O, widzę, że się pani domyśliła, o co chciałem zapytać. Co panią łączy z moim szpitalem?

No proszę, to już jest „jego szpital”, pomyślała Laurie z irytacją. Jednocześnie wystraszyła się, że jeżeli powie prawdę,

straci pracę, i to pół roku przed ukończeniem studiów; Z drugiej strony rozum ostrzegł ją, że jeśli skłamię, konsekwencje mogą być dużo poważniejsze.

- Jestem aktorką i tu mam prace zlecone - wyznała cicho.
- Po jaką cholere mam zatrudniać aktorkę?
- Występuję w roli pacjentek z różnymi chorobami - szepnęła zbita z tropu.

- Proszę mówić głośniej! - krzyknął Mason.

Laurie drgnęła nerwowo i zakryła uszy. Bardzo źle reagowała na krzyk, więc pochyliła się nad biurkiem i syknęła:

- Nie znoszę wrzasków!

Dyrektor zaniemówił i widać było, że z trudem nad sobą panuje. Dopiero po chwili zdobył się na jadowity uśmiech i spytał:

- To też choroba? Z jakiej roli? Ale niech mi pani poważnie opowie o tym, co tu robi.

Laurie usiadła wygodniej, wygładziła spódnicę i zaczęła wyjaśniać:

- Kiedy jeszcze byłam w bostońskiej szkole, wpadło mi w ręce ogłoszenie, dane przez szpital Deaconess. Ten szpital i kilka innych podlega harwardzkiej Akademii Medycznej. Studenci, co zrozumiacie, mieli poważne kłopoty z rozpoznawaniem najczęstszych chorób jedynie na podstawie opisów w podręcznikach. Rozmowy z pacjentami niewiele dawały, a w dodatku ci ostatni coraz bardziej zniechęcali się do służby zdrowia. Wreszcie ktoś wpadł na pomysł, żeby angażować aktorów do odgrywania roli pacjentów. Dyrektorów szkół medycznych zainteresował pomysł, a aktorzy sprawdzili się jako pacjenci.

- Niech mnie diabli wezmą, jeśli...

- A ja im w tym nie będę przeszkadzać - impertynencko przerwała Laurie:

Rzucił jej groźne spojrzenie.

- I my płacimy takiej... komuś takiemu?

- Tak. Wcale nie tyle, ile jestem warta, ale biedna dziewczyna nie może wybrzydząć...

Mason niecierpliwie machnął ręką, przez chwilę stukał palcami w biurko, po czym gwałtownie odsunął krzesło i wstał.

- Biedna dziewczyna nie należy do ekskluzywnych klubów - zauważył z gryzącą ironią.

- Ojciec kupił matce i mnie dożywotnie karty członkowskie - wyjaśniła Laurie ze spuszczoną głową. - Dawniej nie były takie drogie. Może pan wierzyć albo nie, ale teraz stać nas tylko na to, żeby się tam pokazywać. Nie możemy sobie pozwolić nawet na małą lampkę wina. Na pewno słyszał pan o nowobogackich, a teraz ma przed sobą nowobiedną. Rozwiąże pan umowę, prawda?

Po jej policzku stoczyła się łza. Otarła ją i wstała.

- Myli się pani - mruknął Mason. - Nawet ją przedłużymy, bo podoba mi się ten cały pomysł. - Ku niezmiernemu zaskoczeniu Laurie delikatnie otarł jej łzę. - Czy... czy podejmuje się pani również innych prac? - zapytał ciszej.

- Tak - odparła niemal szeptem. - Biorą wszystko, każdą pracę, która jest przyzwoita i legalna.

- Wobec tego zaproponuję coś, co może panią zainteresuje - rzekł Mason, siadając za biurkiem. - Mam osobisty kłopot, który taka osoba jak pani ewentualnie mogłaby rozwiązać.

- Jeśli to będzie w ramach moich możliwości. Nie mam za dużo czasu, bo zajęcia na uniwersytecie...

- Studiuje pani?

- W styczniu powinnam skończyć.

- Czy praca w szpitalu liczy się do zaliczeń?



- Nie. Zdaniem dziekana ważne jest tylko to, czego nauczymy się na uczelni.

- Czy dziekan... hmm... miewa kłopoty ze zdrowiem?
- Z powodu zaburzeń żołądkowych często jest na zwolnieniu.
- Czy chce pani, żebym z nim porozmawiał o pani dyplomie i... o jego żołądku?

Laurie uśmiechnęła się, a doktor Mason zdumiał się, że dopiero teraz zauważył, iż ma przed sobą uroczą kobietę. Popatrzył na jej twarz uważniej i dostrzegł drobne mankamenty - zbyt wypukłe oczy, zadarty nos i dwa krzywe zęby. Całość jednak sprawiała, że ta młoda kobieta posiadała nieodparty urok i wdzięk.

- Studentce w moim wieku przyda się każda forma poparcia - powiedziała Laurie.
- Ale co ja mogłabym zrobić dla pana?

Harry Mason chrząknął zakłopotany.

- Hmm... Najpierw muszę powiedzieć to i owo o sobie. Wie pani, przez kilka lat byłem żonaty...

Laurie wiedziała tylko, że przystojni mężczyźni rzadko pozostają kawalerami. Skoro jednak teraz dyrektor nie miał żony... Wzdrygnęła się, gdy sobie uświadomiła, co jego słowa mogą oznaczać. Mason znowu chrząknął, więc spojrzała na niego z uwagą.

- Wiem o panu tylko to - powiedziała spokojnie - że jest pan chirurgiem.

- Trochę za mało. Ile, według pani, mam lat? - spytał nieoczekiwanie.

- Ile pan... Trudno powiedzieć... - zająknęła się i zarumieniła.
- Trzydzieści cztery, pięć?

- To komplement dla mnie. - Po raz pierwszy na twarzy dyrektora pojawił się nikły uśmiech. - A może o kilka więcej? Czy to by pani przeszkadzało?

- Dlaczego? - zdziwiła się szczerze. - Czemu pański wiek miałby mi przeszkadzać? Sama mam już trzydzieści dwa.

- Jak się pani zapatruje na romanse ludzi w starszym wieku? Laurie zaczęła nerwowo chichotać.

- Na romanse ludzi z pokolenia mojej mamy, która ma sześćdziesiąt pięć lat?

- Nie, z pokolenia ludzi trochę młodszych. Teraz jestem wolny..,

- Pańska żona zmarła?

- Niezupełnie.

- Jak to niezupełnie?

- Mam dziewięcioletnią córkę.

Laurie pokręciła głową. Nie rozumiała, dlaczego dyrektor się zwierza. Przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć.

- Zazdroszczę panu - szepnęła —bo chciałabym mieć dziecko. Co się stało z pańską żoną?

Mason pobladł, ale odpowiedział, patrząc jej w oczy:

- Wyszła z domu pięć lat temu i od tego czasu słuch o niej zaginął. Przepadła jak kamień w wodę.

- O, mój Boże!

Laurie bezwiednie wyciągnęła rękę, którą Mason ujął i przytrzymał w swojej.

- Potrzebuję pomocy ze względu na córkę, która zaczyna dorastać i coraz bardziej brak jej kobiecej opieki.

- Rozumiem.

- Miała pani dziecko?

- Nie.

- A pani mąż?

- Nie żyje.

- Czyli jest pani idealną osobą dla mnie - ucieszył się Mason.

- Może zechce pan dokładniej wyjaśnić, o co panu chodzi.
- Oczywiście. - Mason wstał, pociągnął Laurie i ją objął.
- Potrzebna mi dojrzała kobieta, która zajmie się moją córką. I będzie występować w roli jej matki oraz pani domu.
- Czyli aktorka na pół etatu?
- Raczej myślałem o żonie na pół etatu...
- Kpi pan, czy o drogę pyta?
- Nie kpię - rzekł Mason poważnie. - Naprawdę chciałbym mieć żonę.
- Ale ja nie mogę... Ślub? Przecież ja pana nie znam...
- Bałem się, że to usłyszę. Ja też pani nie znam, prawda?
- Mason pochylił się nad biurkiem i wziął do ręki jakieś pismo.
- Daję pani kilka dni do namysłu. Może zmieni pani zdanie.
- Uprzejmie skinął głową i zabrał się do pracy.

Laurie pojechała na uniwersytet, lecz nie -uważała na żadnych zajęciach. Przez cały czas rozmyślała o niezwyklej propozycji doktora Masona. Wychodziła już z uczelni, gdy dogonił ją asystent dziekana.

- Pani Michelson! Pan Williams panią prosi do siebie.
- Jestem zmęczona. Przyjdę jutro rano.
- Powiedział, żeby pani natychmiast przyszła. Zaraz.

Laurie wrzuciła ramionami i zawróciła do windy. W gestii dziekana leżało uznawanie zaliczeń, przyznawanie dyplomów i temu podobne sprawy. Wołała go nie drażnić.

Wysiadła na szesnastym piętrze, naprzeciwko dziekanatu. Starszy pan stał w otwartych drzwiach sekretariatu.

- No, nareszcie. Długo to trwało - mruzczał gniewnie, prowadząc ją do swego gabinetu. - Margaret - zwrócił się do sekretarki - proszę mnie z nikim nie łączyć.

Laurie przeraziła się, że jeżeli dziekan wysunie zastrzeżenia

wobec jej zaliczeń, termin ukończenia studiów przesunie się na luty albo marzec.

Dziekan wskazał jej krzesło, które studenci między sobą nazywali krzesłem elektrycznym. Wziął do ręki plik papierów i rzekł:

- Bardzo dokładnie przejrzałem pani dokumenty.
- Wiem, że nie zaliczono mi semestrów na uniwersytecie w Massachusetts...

- I dość długo - przerwał jej dziekan, stukając w biurko złotym piórem - rozmawiałem z doktorem Masonem.

Struchlała. Wystraszyła się, że dyrektor wziął odwet za to, iż nie chciała mu pomóc. Przeraziła się, że za jego sprawą zostanie usunięta z uczelni.

- W związku ze stanowiskiem, jakie zajmuje - ciągnął dziekan - doktor Mason niejako automatycznie należy do władz uczelni.

Starszy pan znowu postukał w biurko i chrząknął. Laurie spłotła dłonie, aby dziekan nie zauważył, że drżą.

- Co doktor Mason powiedział?

- Mówił o pani zajęciach w szpitalu, o tym, ile czasu i wysiłku pochłaniają. Dlatego powtórnie wszystko sprawdziłem i okazało się, że przysługuje pani dwanaście punktów więcej, niż zanotowaliśmy.

- Dwanaście? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Tak - potwierdził dziekan, wkładając dokumenty do teczki. - Czyli o sześć przekroczyła pani liczbę, wymaganą do ukończenia studiów.

- Więc? - szepnęła ledwo dosłyszalnie.

Dziekan wziął dużą gumową pieczętkę, umoczył ją w czerwonym tuszu i przybił na okładce teczki.

- Więc, pani Michelson, niniejszym oświadczam, że jest pani absolwentką Uniwersytetu Grandell, *magna cum laude*. Już od tej chwili. Proszę przekazać tę nowinę swej uroczej matce.

- Pan zna moją mamę?

Dziewczyna uśmiechnęła się, co zdarzało się nader rzadko.

- Chodziliśmy do jednego liceum i... trochę podkochiwałem się w Maybelle... Niech pani teraz jedzie do domu i uczci zakończenie studiów.

Wyszła z dziekanatu jakby w półśnie. Szczęście, jakie ją spotkało, było zbyt wielkie, aby od razu mogła w nie uwierzyć. Zastanawiała się, którą wiadomość powinna przekazać matce jako pierwszą.

Przez całą drogę powtarzała sobie, że skończyła naukę i wreszcie posiada dyplom z wydziału sztuk pięknych. Uparcie studiowała przez siedem lat, na dwóch uniwersytetach, i teraz, gdy marzenie się spełniło, nie wiedziała, czy się cieszy. Miała wątpliwości, czy ktokolwiek zatrudni trzydziestodwuletnią kobietę ze świeżym dyplomem z wydziału sztuk pięknych.

Była tak pogrążona w myślach, że nie zauważyła znaku ograniczenia szybkości przy Erwin Street i nie zwolniła. Miała pecha, ponieważ akurat stali tam policjanci, tak jakby właśnie na nią czekali. Radiowóz ruszył na sygnale:

Nadal nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, nacisnęła hamulec tak mocno, że policjanci nie zdążyli wyhamować. Nowy radiowóz policyjny wpadł na jej starego pontiaca. Świeżo upieczona absolwentka Uniwersytetu Grandell wróciła do domu co prawda z dyplomem, ale i z trzema mandatami.

Pamiętała, że za podobne zderzenie winę ponosi kierowca jadący z tyłu, który powinien zachować przepisową odległość. Nie orientowała się jednak, czy przepis dotyczy również policjantów i komu sąd przyzna rację.

Maybelle Michelson na ogół czekała na powrót córki, sie-

dząc w bawialni przy lampce wina. Tego dnia bawialnia była pusta. Zaskoczona Laurie zajrzała do wszystkich pokoi i wreszcie znalazła matkę w sypialni. Starsza pani siedziała przy toalecie, tonąc we łzach.

- Mamo, dlaczego płaczesz?

Nie podnosząc głowy, matka podała jej plik kopert.

- Jestem głupsza, niż myślałam - szepnęła.

- Nie martw się, mamusiu, każdy robi głupstwa - pocieszyła ją Laurie. - Wszyscy czasami miewamy złe dni. Co to za koperty?

- Córeczko, nie gniewaj się, ale ja musiałam, naprawdę musiałam sprawić sobie tę kremową garsonkę.

- Trochę zaszalałaś... Zobaczymy, co jest w kopertach.

Z pierwszej wyjęła upomnienie z banku sprzed dziesięciu miesięcy. Chodziło o wpłatę raty na hipotekę.

Panie przed laty uzgodniły, że matka będzie płacić za dom z pieniędzy po ojcu, a córka pokrywać wszystkie inne wydatki z własnych zarobków.

- Widzę, że uchyliłaś się od zapłacenia raty. No, to jeszcze nie przestępstwo.

W drugiej też znalazła, upomnienie. Trzecia koperta była zaklejona.

- Mamo, nie zapłaciłaś dwóch rat i potem nawet nie otwierałaś kopert?

- Myślałam, że jeśli nie przeczytam, o czym piszą, to o mnie zapomną - powiedziała matka, szlochając. - Ale oni nie zapomnieli.

- Banki nigdy nie zapominają o dłużnikach - mruknęła Laurie, biorąc do ręki kopertę z najświeższą datą. - Mamo! - zawołała zgorziona. - Nie płaciłaś przez dziesięć miesięcy?

- Tak. I myślałam, że się udało, bo przez ostatnie dwa bank się nie odzywał.

Laurie poczuła ucisk w gardle.

- Nie było po co.

- Nie mogłam chodzić jak dziadówka - rzuciła matka wojowniczym tonem. - Musiałam kupić sobie kilka sukien, buty, zimowy płaszcz. Zrozum, naprawdę musiałam.

- Ale jeśli wyrzucą nas z domu...

Matka wstała i otarła oczy.

- Nie mogą tego zrobić. Nie jesteśmy byle kim, nasza rodzina liczy się w tych stronach. Jeżeli zabiorą nam dom, umrę z rozpacz. Nie możesz do tego dopuścić! Widzisz, myślałam, że wyjdiesz za Hansa Depnera i on weźmie wszystko w swoje ręce.

Pani Michelson znowu zalała się łzami.

Laurie drżącymi rękoma otworzyła ostatnią kopertę i ze ściśniętym z przerażenia sercem odczytała treść zawiadomienia.

- Podano sprawę do sądu - szepnęła zbielełymi ustami. - Za dwa tygodnie dom zostanie wystawiony na sprzedaż.

- Nie! - Maybelle Michelson przeraźliwie krzyknęła i osunęła się na podłogę.

Laurie widziała w szpitalu, jak postępuje się z ludźmi, którzy stracili przytomność. Zbadała puls i stwierdziła, że matka oddycha, więc uznała, że po prostu zemdląca. Z trudem podniosła bezwładne ciało i zaciągnęła na łóżko.

Usiadła obok, załamana.

- Boże miłosierny, zlituj się nade mną! Co ja mam zrobić? Skąd wziąć pieniądze? Z banku nic nie dostanę, bo przecież to właśnie oni nas wyrzucają. Na uczelni zalegam z opłatami. Samochód za stary, żeby go sprzedać, a ubezpieczenie jest płatne

dopiero po mojej śmierci. Nie mam żadnych krewnych, nikogo. Co robić? Gdzie szukać pomocy?

Matka jęknęła i otworzyła oczy.

- Dziecko moje - szepnęła - musisz temu zapobiec.
- Na pewno coś wymyślę. Prześpij się, mamó, odpocznij.

Pograżyła się w niewesołych rozmyślaniach. Nie miała nic do sprzedania i nie mogła też od nikogo pożyczyć pieniędzy.

Pomyślała o małżeństwie z Hansem Depnerem, lecz tę ewentualność natychmiast odrzuciła. Wiedziała, że jemu nie chodzi o małżeństwo. Został jedynie doktor Mason...

Poczuła dotkliwy ból serca, lecz prędko opanowała się i podjęła decyzję, jak na dojrzałą kobietę przystało. Uświadomiła sobie jasno, że to jedyna szansa. Kobieta w jej wieku powinna myśleć trzeźwo. Zdawała sobie sprawę, że ma nikłe szanse na to, aby ktoś oświadczył się o jej rękę.

- Mamó, śpisz?

- Nie.

- Idę na dół, żeby zadzwonić, a ty leż spokojnie i o nic się nie martw. Jestem pewna, że jakoś z tego wybrniemy.

Wyszła z pokoju wyprostowana, lecz za drzwiami się przygarbiła.

- Na co mi przyszło? Muszę sprzedać siebie, żeby matce nie zabrano domu! Wprawdzie to lepsze niż... Ale czy po to kończyłam studia? - mówiła do siebie rozgoryczona.

Telefon Harry'ego Masona znalazła w książce telefonicznej, którą akurat tego dnia kupiła. Trzęsącą się ręką wybrała numer, cały czas gorączkowo zastanawiając się, jak zacząć rozmowę.

Telefon odebrała córka Masona.

- Dzień dobry — powiedziała Laurie. - Chciałabym mówić z panem doktorem Masonem.



- Nie ma porad domowych. Do widzenia.
  - Proszę nie odkładać słuchawki. Ja nie... nie chodzi mi o leczenie - jąkała się Laurie. - Jestem... pracuję w szpitalu...
  - Mój tata nie ma czasu dla żadnych facetek ze szpitala
  - przerwała ze złością dziewczynka. - I tak nie może opędzić się od pielęgniarek i lekarek.
  - Mała, tak się nie mówi do dorosłych - rzuciła Laurie ostro.
  - Twój ojciec prosił mnie, żebym zadzwoniła.
  - Nie wierzę. Niepotrzebnie pani dzwoni, bo moja mama na pewno niedługo do nas wróci i będziemy szczęśliwi, Więc po co nam blondynka...
  - Mam rude włosy.
  - Wszystko jedno - powiedziała nie speszona i odłożyła słuchawkę.
- Laurie wpatrzyła się w telefon.
- Holender! Całe życie mam pecha. Nic, tylko płakać.
- Zakryła twarz dłońmi i gorzko się rozpłakała.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Wytrwałość jest cechą godną pochwały. Laurie Michelson posiadała ową cechę i nie poddawała się przeciwnościom losu. Rano pojechała do szpitala z mocnym postanowieniem, że odbędzie rozmowę z dyrektorem. Najpierw jednak musiała pójść na zajęcia ze studentami, którzy uczyli się, jak postępować z chorymi cierpiącymi na dokuczliwą astmę. Po zajęciach poprosiła o rozmowę z dyrektorem.

- Pan dyrektor jest bardzo zajęty - powiedziała sekretarka.

Laurie w przeszłości również pracowała w sekretariacie, więc z własnego doświadczenia wiedziała, że takiej odpowiedzi nie należy traktować dosłownie. Nie wycofała się więc, lecz uparcie stała, wpatrując się w sekretarkę, i od czasu do czasu pokaszując. Jej upór przyniósł pożądany skutek i została dopuszczona przed oblicze pana i władcy szpitala.

Doktor Harry Mason siedział rozparty w fotelu, z nogami na biurku. Był bez butów i w jednej skarpetce widniała spora dziura. W rękę miał jakieś pismo, na nosie okulary, ale oczy zamknięte.

Laurie chrząknęła zażenowana. Dyrektor powoli uchylił jedną powiekę, po czym prędko otworzył oczy i błyskawicznie zdjął nogi z biurka.

- Słucham panią.

Odniosła wrażenie, że Harry Mason zapomniał, kim ona jest, a taki obrót sprawy utrudniał zadanie.

- Nazywam się Laurie Michelson.

- Dobrze sobie! Czy pani uważa, że nie pamiętam aktorki, na którą szpital się rujnuje? - Rzucił pismo na biurko i spojrzał spode łba. - Czego pani chce?

- Porozmawiać o... na temat, o którym pan wspomniał miesiąc temu.

Mason wpatrywał się w nią bez słowa.

- O pomocy domowej dla pana - dodała niemal szeptem.

- Pomoc domowa? Aha. Muszę panią uprzedzić, że sytuacja jest krytyczna. Czuję się obłożony we własnym domu.

- To przykre... Rozmawialiśmy też o moich studiach i... pan był uprzejmy zadzwonić do dziekana.

- Możliwe. Codziennie dzwonię do setek osób,

- Okazało się, że mam sześć punktów ponad normę wymaganą do zaliczeń, ale...

- Nie cieszy się pani?

Laurie patrzyła na niego zdezorientowana. Mason miał taką minę, jakby rozmowa wcale go nie interesowała.

- Bardzo, ale muszę szybko uiścić ostatnie opłaty.

- Przecież to normalne.

- Tak, tylko że ja nie mam pieniędzy - ciągnęła zdesperowana, rumieniąc się mocno. - Wspomniał pan, że potrzebuje pomocy.

- Owszem, przypominam sobie. Jak i to, że... moja propozycja została odrzucona.

- Niezupełnie, bo... ja...' Chciałam poważnie się zastanowić i poradzić z matką. Teraz mam czas, więc mogłabym zaryzykować.

.- Aha.

- Jestem bardzo dobrą aktorką. I nawet będę miała dyplom, jeśli wszystko wpłacę. - Czuła, że traci panowanie nad sobą.

- Gdyby nie dom... - Urwała, aby się nie rozpłakać.

- Jaki dom?

Wytarła oczy i nos i opowiedziała o zaległych rachunkach. Zdawała sobie sprawę, że potrzebuje dużo pieniędzy i że żaden rozsądny człowiek nie zainwestuje aż tyle w nieznaną, początkującą aktorkę. Nie miała jednak innego wyjścia, więc była zmuszona postawić wszystko na jedną kartę.

- Czy jest pan pewien, że nie wystarczyłaby opiekunka na przychodne?

- Niczego nie jestem pewien - niechętnie przyznał się Mason. - Córka wpadła w furję, gdy powiedziałem jej o ewentualnym małżeństwie. Jest nieznośna, bo brak jej koleżanek, z którymi musiała się rozstać. Grandell jej się nie podoba, mieszkanie stale krytykuje... Co pani mówi?

- Małżeństwo to poważna sprawa i...

- Bardzo poważna.

- W dodatku pańska córka uważa, że jej matka wróci. Nie można mieć dwóch żon, prawda? Więc tym bardziej...

- Rozumiem. - Podszedł tak blisko, że cofnęła się o pół kroku. - Dziecko niewiele widzi. Nie wie nawet połowy tego, co się dzieje w domu. Przysięgam, że nie ma nawet jednej szansy na milion, że wrócę do pierwszej żony.

- Naprawdę?

- Naprawdę - przedrzeźnił ją coraz bardziej zirytowany. - Rozwiodłem się, bo zastałem żonę w łóżku z innym.

- Och! - Laurie z wrażenia usiadła. - Więc nie sądzi pan...

- Nie. Podtrzymuję moją propozycję, jeżeli pani, jako dobra aktorka, wcieli się w rolę mojej żony na, powiedzmy, cztery, pięć lat.

- Tak długo? - jęknęła przerażona.

Mason wzruszył ramionami.

- To konieczne, bo właśnie teraz dziecku najbardziej potrzebny jest unormowany tryb życia. Wie pani, okres dojrzewania.

- Wiem.

- To dobrze. - Mason uśmiechnął się i od razu jakby pojaśniało w całym pokoju. - To niezłe rozwiązanie - dodał, poważniejąc. - Chodzi o stały związek do czasu, gdy córka skończy dwadzieścia jeden lat albo wyjdzie za mąż.

- Przecież to nie będzie pięć lat, tylko dwa razy tyle! Tak długo mamy udawać?

- Właściwie nie chcę, żebyśmy tylko udawali. Moja córka jest bystra i niełatwo da się oszukać. Musimy zachowywać się tak, żebyśmy sami prawie uwierzyli w nasze małżeństwo.

Laurie splótła palce i mocno zacisnęła. Ta perspektywa przerażała ją, lecz powtarzała sobie, że potrzebuje pieniędzy. Należało nie tylko zapłacić za dom i studia, ale kupić także ciepły płaszcz. Zbliżała się zima, a stare paletko było już bardzo wytarte. Najważniejsze zaś było utrzymanie domu. Wiedziała, że jeżeli nie zdobędzie pieniędzy, za dwa tygodnie obie z matką zostaną bez dachu nad głową. Nie mogła do tego dopuścić!

Zwilżyła spierzchnięte wargi i powiedziała cicho:

- Czyli proponuje pan tylko czasowe małżeństwo?

- Wcale nie, Moja propozycja obejmuje różne rekompensaty, jak choćby zabezpieczenie materialne dla pani i pani matki. Nie bez znaczenia jest też obecność mężczyzny w domu i utrzymanie towarzyskiej pozycji matki.

- Wszystko tylko dla matki. A co dla mnie?

- Dla pani mogą być małżeńskie rozkosze - odparł Mason, z wesołym błyskiem w oczach. - I co rok prorok.

- Jak to... dzieci? - wykrztusiła, jękając się.

- Oczywiście.

- Czyli że... to... Że nie będzie... na niby?
- Jasne.
- Przecież ja pana nie kocham.
- Żadna przeszkodą bo dzieci można mieć i bez miłości. Według mnie uczucia są niepotrzebnym balastem. Dawniej ludzie pobierali się wedle życzenia rodziców i mieli sporo potomstwa.

Oczy Laurie napełniły się łzami. Wiedziała, że wielu małżeństw nie łączy miłość, lecz żal jej się zrobiło, że i ona będzie jej pozbawiona. Miała ogromną ochotę wycofać się, póki nie było za późno, ale oczyma wyobraźni ujrzała eksmisję z domu.

Wzruszyła ramionami. Nie miała wyboru, a mogła trafić znacznie gorzej. Przynajmniej wychodziła za przystojnego mężczyznę. Przełknęła łzy i uśmiechnęła się blado.

- Mam dużo długów - uprzedziła.
- Nie szkodzi. Może zdołam wszystkie spłacić.
- Ja... boję się uwiązać sobie taki kamień u szyi bez okresu próbnego. Umówmy się najpierw na trzy miesiące...
- Na moich warunkach?
- Tak.
- A jeżeli okres próbny wypadnie dobrze?
- Jeśli po trzech miesiącach wszyscy będziemy zadowoleni, przedłużymy umowę na cztery lata,
- Zgoda. A jeżeli pani zapragnie przedłużyć nasz związek o kolejne cztery lata, ja łaskawie się zastanowię.
- Stokrotne dzięki, łaskawy panie.
- Więc od dziś mówmy sobie po imieniu. I musimy przypieczętować porozumienie pocałunkiem:
- Nie bądź taki szybki, Bill! Zgadzam się tylko na to pierwsze. I chcę dostać do ręki pisemną umowę.

- Widzę, moja droga, że robisz ten decydujący krok bez... entuzjazmu. Pamiętaj, że do niczego cię nie zmuszam.

- Wiem, że jeszcze mogę się wycofać, tylko co potem?

- Mówiłaś, że byłaś mężatką, więc powinnaś wiedzieć, że nie taki diabeł straszny, jak go malują.

- Mój był sto razy gorszy, niż go malują. I moje... małżeństwo skończyło się zupełną tragedią - powiedziała załamującym się głosem.

- Mogę wiedzieć, dlaczego?

- Na razie nie chcę o tym mówić.

- Ale jesteś gotowa jeszcze raz spróbować?

- Tak.

- Więc pozostaje podpisać umowę i znaleźć dom...

- Dom? Jaki dom?

- Dla nas. Mam okropne mieszkanie, więc muszę się przeprowadzić. - Uderzył się ręką w czoło. - Już nawet wiem, gdzie. Skoro wasz dom jest na sprzedaż, ja go kupię i wszyscy będziemy mieli gdzie mieszkać. Wystarczy miejsca dla nas?

- Jest kuchnia i jadalnia, salon i bawialnia oraz sześć sypialni i dwie łazienki. Mamy basen i hektar ziemi. Dom zbudowano przed Wojną Domową...

- Idealny - przerwał Mason. - O taki mi chodziło.

- Zostanie wystawiony na sprzedaż już za dwa tygodnie

- nieśmiało powiedziała Laurie. - Czy zdołasz...

- Nie martw się. - Mason zajrzał do kalendarza. - Najlepiej, jeśli nie będziemy zwlekać i za kilka dni rozpoczniemy nasz trzymiesięczny okres próbny.

- Za kilka dni?

- Najlepiej pojutrze - zdecydował przyszły mąż. - Bo potem przez kilka tygodni będę miał operację za operacją.

- Dobro pacjentów przede wszystkim - mruknęła z przekonaniem.

- Rozumie się samo przez się.

- Raz kozie śmierć...

- Więc naszkicuję umowę, poproszę sekretarkę, żeby przepisała i możemy brać ślub. Chcesz w kaplicy szpitalnej?

- Wszystko mi jedno. Ale jak powiem o tym matce?

Mason spojrzał na zegarek i wstał, jakby podjął decyzję,

- Mam dwie wolne godziny. Jedziemy do ciebie i ja ją powiadomię.

W tym momencie zajrzała sekretarka.

- Przepraszam, panie doktorze, ale.

- Później, Mary Beth. Najpierw muszę załatwić pewną osobistą sprawę.

Pani Michelson zaniemówiła jedynie na kilka sekund. Potem ucałowała córkę i zachwyconym wzrokiem popatrzyła na przyszłego zięcia. Była tak uradowana, że od razu zaproponowała, aby mówił jej po imieniu.

- Zareczyliście się - powtórzyła kilka razy. - Laurie, gratuluję ci, kochanie. Kiedy ślub?

- Jeszcze nie ustaliliśmy, bo jest wiele spraw do załatwienia. Przede wszystkim musimy przekonać... - Urwała zakłopotana, że nie zna imienia swej przyszłej pasierbicy.

- Porozmawiać z Suzanne - dokończył Harry. - Córka nie wie, co ją czeka, więc musimy jej zawieźć dobrą nowinę. Ciekaw jestem, czy pani zaakceptuje mój plan. Otóż, kiedy Laurie powiedziała, że dom zostanie wystawiony na sprzedaż, postanowiłem go kupić. Zamieszkamy tu i dołożymy starań, żeby stworzyć szczęśliwą rodzinę. Czy to pani odpowiada?



- Bardzo! - zawołała pani Michelson. - Rzadko kiedy młode małżeństwo chce mieszkać z teściową.

- Biedota nie może wybrzydzać - mruknął Mason pod nosem.

- Biedota? - powtórzyła pani Michelson. — Chyba to lekka przesada. Lekarz, w dodatku dyrektor szpitala? Jaka biedota?

- Mówiłem w przenośni. - Mason z ukosa zerknął na Laurie. - Mam... będziemy mieli dość pieniędzy, żeby jako tako żyć. Gdy się podliczy wszystko razem, nie będzie tak mało.

Pani Michelson odetchnęła z ulgą i roześmiała się, uszczęśliwiona.

- Musimy to uczcić winem, które zrobił mój świętej pamięci mąż. Miało być na specjalne okazje...

Laurie zaczęła dawać znaki, że wino jest okropne.

- Może kiedy indziej - podsunął Mason. - Wracam do szpitala, więc rozumie pani, nie mogę pić.

- Dobrze, wypijemy innym razem - przystała pani Michelson.

- Do zobaczenia, mamó. Wrócimy pod wieczór - powiedziała Laurie. - No, jedno mamy za sobą - szepnęła, gdy szli do samochodu. - Ojciec był wspaniałym człowiekiem, ale wino robił okropne. Pewnie z jakichś pigułek i proszków. Pomachaj ręką, bo mama stoi w oknie.

- Ale cię pilnuje - rzekł rozbawiony Mason i posłusznie machnął ręką.

- Postanowiła, że muszę wyjść za mąż, ale długo nic się nie kroilo. Teraz pewnie trzyma kciuki albo się modli.

- Jesteś uparta?

- Co? Ja? Ani trochę.

- Dzięki Bogu. Dwa uparciuchy byłyby nie do zniesienia. Sukie ma uporę za trzech.

- Uważaj na zakręcie przy Erwin Street - ostrzegła Laurie.
- Zawsze tam stoi...

Zauważyli policjanta i radiowóz ze śladami zderzenia. Laurie przyjaźnie pomachała ręką. Policjant niechętnie odwzajemnił gest.

- Bliski znajomy?
- Daleki.

Niebawem dojechali do Pleasant Street i staneli przed najwyższym w mieście i najnowszym, bo tylko czterdziestoletnim, blokiem.

- Ale ponure gmaszysko - wyrwało się Laurie.
- Takie brzydactwo, a drogie jak wszyscy diabli - rzucił Mason z krzywym uśmiechem. Pomógł jej wysiąść i poprowadził do bloku. - Na parterze są sklepy i do jednego wstąpimy na chwilę.

- Czy musimy gnać jak na złamanie karku? - spytała zaspąpana, z pretensją w głosie. - Nie mam długich nóg, więc ledwo za tobą nadażam.

- Lepiej przyznaj się, że chcesz obejrzeć wystawy. - Stanął przy pierwszym oknie wystawowym. - Jak ci się to podoba? Chciałbym zobaczyć cię w takim stroju.

Patrząc na bikini ze stanikiem złożonym z czterech wąskich pasków, Laurie skrzywiła się z niesmakiem. Miała kompleks na punkcie piersi, gdyż pierwszy mąż do znudzenia powtarzał, że ma wielkie „przedsięwzięcie”.

- Jakoś nie słyszę słów zachwyty. Więc może wolałabyś taką suknię?

Suknia miała dekolot z przodu do pępka, a z tyłu do pośladków, ale za to spódnicę długą i suto marszczoną.

- Widzę, że to też nie przypadło ci do gustu. Oj, boję się, że trudno ci dogodzić.

- Mnie w ogóle nie można dogodzić. Poza tym zastanów się, człowieku, co proponujesz na tutejszy klimat. I chyba nie chcesz, żeby twoja żona publicznie paradowała w czymś takim? Nie zauważyłeś, że mam obfite kształty?

- Cudownie obfite, gdzie trzeba. - Mason wyszczerzył zęby w zmysłowym uśmiechu i zaśmiał się mu w oczy. - Zauważyłem zaraz pierwszego dnia. - Pociągnął Laurie do następnej wystawy. - Więc może zechcesz coś takiego na noc? - Nie czekając na odpowiedź, mówił dalej: - Odpada, bo mnie się nie podoba. Noce będziemy spędzać w stroju Adama i Ewy.

- Też wymyśliłeś! - syknęła, wrywając rękę. .

- Powiedziałem coś nie tak?

- I nie tak, i stanowczo za wcześnie.

- Jestem w gorącej wodzie kapany, co? Przepraszam. O, doszliśmy, gdzie trzeba.

Zatrzymali się przed bardzo eleganckim sklepem jubilera. Na wystawie leżał tylko jeden piękny naszyjnik z diamentów.

Laurie nie miała odwagi zapytać, czy to prawdziwe diamenty, czy imitacja. Weszli do środka. Kierownik zauważył ich i natychmiast podszedł.

- Dzień dobry, Harry - rzekł, podając Masonowi rękę. - Nadeszła właściwa pora?

- Tak, Benny. Jest?

- Oczywiście. Proszę państwa tędy. - Przepuszczając gości, obrzucił Laurie taksującym spojrzeniem. - Będzie idealny. - Wziął z półki małe pudełko. - Proszę.

Harry podał je Laurie.

- Otwórz i zobacz, ile są warte dwa wycięte wyrostki i jedno naprawione serce.

- Dlaczego tylko ja mam oglądać?

- Bo to jest coś dla kobiet, nie dla mężczyzn.  
 - Klient nasz pan, więc szukaliśmy po całych Stanach - powiedział kierownik. - No, ale czego się nie robi dla prawdziwego znawcy.

- Całe Stany? - powtórzyła Laurie z niedowierzaniem.

Powoli otworzyła pudełeczko i jej zdumionym oczom ukazał się platynowy pierścionek z przepiękną perłą. Patrzyła oniemiała.

- Czy... czy teraz powinnam zapytać: „To dla mnie?” - szepnęła.

- Tak, to najważniejszy moment - odparł Harry. - Dlaczego nie zakładasz? - Wyjął pierścionek i chwilę zawahał się. - Przepraszam - mruknął speszony - zapomniałem, na który palec powinienem włożyć.

Laurie wysunęła serdeczny palec.

- Jedyne pierścionek, jaki kiedykolwiek dostałam - powiedziała oszołomiona - był imitacją.

- Ten nie jest - zapewnił kierownik. - Perła, diamenty i platyna są najprawdziwsze.

- Mąż nie dał ci pierścionka? — zdziwił się Harry.

- Miałam obrączkę tylko w dzień ślubu - odparła z ociąganiem. - Powiedział, że należała do matki, tylko nie dodał, że nie do jego rodzicielki. Zabrali ją razem z nim.

- Kto zabrał?

- Nieważne.

- W porządku. - Harry zwrócił się do kierownika: - Serdecznie ci dziękuję, Benny. Teraz najgorsze przed nami... wyjaśnienie wszystkiego Madame DeFarge.

- Komu?

- Czyżbyś nic nie czytała o Rewolucji Francuskiej? Ta jejmość siedziała sobie koło gilotyny, spokojnie zajęta robótką na

drutach. No, chodź, pokażemy pierścionek mojej córce i może nakłonimy ją, żeby nam dała zezwolenie na ślub. Jej matka nosiła większy pierścionek, więc tego chyba nie będzie miała za złe. A ty masz mi za złe?

- Czy dużo ci potracą, jeśli będziesz musiał go oddać? - spytała Laurie z niepokojem.

- Święci Pańscy! Co ty wygadujesz?! - krzyknął Mason, biorąc ją za rękę i ciągnąc w stronę windy.

- Co ja takiego powiedziałam? Czy to źle, że nie chcę, żebyś zbankutował, bo niepotrzebnie się wykosztowałeś z powodu nieprawdziwego ślubu?

- Przysięgam, że nie zbankrutuję. Poza tym, to wcale nie jest niepotrzebne, a nasz ślub na pewno nie będzie nieprawdziwy - odparł zdecydowanym tonem. - I zanim wejdziemy do domu - dodał, przyciągając ją do siebie i mocno obejmując - niech mam coś na szczęście.

Laurie później wspominała ów pierwszy pocałunek jako coś, co trwało wieczność, chociaż wiedziała, że mogło trwać nie dłużej niż minutę. Była w nim czułość i jakaś nieuchwytna tęsknota, której nie rozumiała. Pod wpływem pieszczoty ugięły się pod nią kolana, więc Harry wziął ją na ręce i wniósł do windy.

- Wszyscy nas Widzieli - szepnęła mu na ucho.

- Jacy wszyscy? - zapytał zdziwiony. - O kim mówisz?

- Widzieli nas wszyscy na parterze iw...

- Bajki opowiadasz. Na parterze nikogo nie było, tu też nie ma. Przestań majtać nogami.

Obsypał pocałunkami jej twarz i szyję. Nie przestał całować, nawet gdy winda stanęła na piątym piętrze i wsiadło kilka osób...

- Brawo! - powiedziała jedna z nich i nacisnęła guzik pierwszego piętra.

- Kiedy wysiadamy? - spytała spłoniona Laurie..
- Jak zajedziemy na miejsce - spokojnie odparł Harry.

Zjechali wszyscy na dół. Wysiadający na odchodnym zawo-  
łali:

- Życzymy powodzenia!

Winda znowu stanęła na piątym piętrze i tym razem Mason  
nogą zablokował drzwi. Przez chwilę stali w milczeniu, aż Lau-  
rie przestała ciężko dyszeć.

- Jak w szpitalu - mruknęła, gdy odzyskała głos.
- Co takiego?

- Miałam nieszczęście kilkakrotnie leżeć w szpitalu. Za każ-  
dym razem mój lekarz, któremu słono płaciłam, kierował mnie  
do drogo sobie liczącego chirurga. Ten przyprowadzał równie  
drogiego anestezjologa, a on z kolei trzy pielęgniarki, też ko-  
sztowne. Zawsze byłam obstawiona dobrze opłaconymi specja-  
listami, a gdy wieziono mnie na salę operacyjną, wszyscy wo-  
łali: „Powodzenia”. Nie wystarczyło, że płaciłam na prawo i  
lewo, jeszcze potrzebne mi było powodzenie.

- Proszę cię, nie zmyślaj.
- „Proszę”? Robisz się grzeczny. Gdzie się podział dyrektor  
i dyktator?

Mason zaczerwienił się po korzonki włosów.

- Jestem tylko dyrektorem - zaperzył się. - Lekarze nie są  
dyktatorami. Przynajmniej niektórzy - dodał po namyśle.

Pocałował Laurie w policzek i szepnął:

- Masz pierścionek na palcu? No, to dzwoń.
- Postaw mnie wreszcie i sam dzwoń. Czy mam pierścionek

wszystkim podtykać pod nos?

Harry gwałtownie opuścił ją na podłogę.

- Zrobiłeś to celowo - syknęła.

- Co celowo?
- Spuścisz mnie, jakbym była workiem kartofli.
- Nie podobało się pani?

Laurie nie odpowiedziała. Obciągnęła suknię i przygładziła włosy. Gorączkowo szukała celnej odpowiedzi, lecz refleks ją chwilowo zawiódł.

- Ja ci...-- zaczęła, lecz w tej chwili otworzyły się drzwi.
- Tato! Po co przyprowadziłeś tę facetkę?

Dziecko stojące na progu nie było małe. Dziewczynka miała około półtora metra wzrostu, obiecującą figurę i złociste loki, Opadające prawie do pasa. Ubrana była w granatowa, bluzkę i czerwone, przykrótkie dżinsy.

Zdumiona Laurie spojrzała na Harry'ego.

- No i jak, laluniu? - syknęła dziewczynka. - Ma pani coś do powiedzenia, czy mogę zamknąć drzwi?

- Lepiej sama się zamknij, kozo! - warknęła Laurie i przestąpiła próg.

Dziewczynka cofała się przed nią, Harry szedł za nią.

- Niech się panie nie krępują i dalej rozmawiają - rzekł ironicznym tonem. - Uwielbiam kłótnie.

- Rudzielec - mruknęła Sukie pod nosem. - Czy to pani niedawno dzwoniła?

Laurie nie raczyła odpowiedzieć.

- Co jadłaś na lunch? - zapytała ostro.

- Kanapkę. Z samym masłem, bo nic innego nie było.

- Gdzie jest ta pani, która miała cię pilnować? - zainteresował się ojciec.

- Już dawno poszła. Okropny babus.
- Słyszysz, jak moja córka się wyraża? Ma maniery rekruta.
- Nie mów tak, kapralu. To jeszcze dziecko.

- Tata, ta pani ci odszczekuje! Weźmiesz się za nią?  
 - Weźmie, ale ślub ze mną - odparła Laurie. - Już dzisiaj przynosicie się do mnie. Zabierz pidżamę, szczoteczkę do zębów i coś cieplejszego na jutro. No, jazda!

- Jazda? Nie wolno tak do mnie mówić! Prawda, tato?

- Jazda! - rzekł ojciec surowo.

Dziewczynka stała niezdecydowana, przestępując z nogi na nogę.

- Idź do łazienki - poleciła Laurie - bo będzie katastrofa.

- Nie podejrzewałem - rzekł Mason, gdy córka wyszła - że to tak gładko pójdzie. Moje uznanie. Udało się.

- Na pięć minut.

Harry objął ją i namiętnie pocałował.

- Tatusiu, co zrobiłeś?! - krzyknęła Sukie.

- Przypieczętował nasze zaręczyny - odparła Laurie, pokazując pierścionek.

- Phi! Mamusia miała większy - orzekła, wzruszając ramionami.

- Nie wątpię. Bardzo ją kochałaś?

- Jasne. Pani nie kocham.

- To zrozumiała. Ale mam nadzieję, że mnie polubisz.

Sukie pokręciła głową, lecz nic nie powiedziała.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Ledwo wysiedli z samochodu, Sukie krzyknęła szczerze zdumiona:

- Jaki wielki dom! To chyba pałac!
- Podoba ci się? - spytała Laurie.
- Sto razy bardziej niż nasze mieszkanie.

Pani Michelson siedziała w bawialni, z gazeta, w jednej ręce i lampką wina w drugiej.

- Przywiozłaś gości? - spytała, wstając nieco chwiejnie. - Jaki miły chłopczyk - zwróciła się do dziecka.

- Co pani opowiada? Jaki chłopczyk? - oburzyła się Sukie. - Każdy widzi, że jestem dziewczynką.

- Na pewno nie każdy. - Pani Michelson zaśmiała się nerwowo. - Nosisz spodnie jak chłopiec. Masz wprawdzie długie loki, ale teraz i chłopcy zapuszczają włosy. Wyglądasz mi na chłopca.

- To pani źle widzi - burknęła Sukie. - I za dużo pani wypiła. Nie chcę takiej babci.

- Co za niegrzeczne dziecko. - Pani Michelson opróżniła kieliszek i zwróciła się do Masona: - Panie doktorze, dzwoniło ze szpitala. Była jakaś poważna kraksa. .

Mason rozejrzył się po pokoju.

- Gdzie telefon?
- Na podłodze, za kanapą.

Po odłożeniu słuchawki rzekł zdenerwowany:

- Zderżyły się trzy samochody i jest siedem ofiar. Muszę jechać do szpitala.

- Wciąż to samo - powiedziała Sukie, gdy za ojcem zamknęły się drzwi. - Czy w tym pałacu jest kucharka?

- Oczywiście. W mojej osobie - odparła Laurie i smętnie westchnęła. - Jesteś głodna?

- Bardzo.

- Wobec tego idziemy do kuchni.

Pan Michelson przed samą śmiercią zdążył przeprowadzić remont, więc kuchnia była nowocześnie urządzona. Piecyk gazowy lśnił czystością, a miedziane rondle, wiszące na ścianie, błyszcząły jak nowe. Sukie odkręciła palnik, lecz nie usłyszała szumu gazu.

- Coś się zepsuło?

- Nić. Nie zapłaciłyśmy rachunku - wyznała zawstydzona Laurie.

- Kto poleruje rondle? Pani mama?

- Skądże. To zajęcie gospośi.

- Czemu jej nie ma?

- Bo to nie jej tydzień.

- Jak się gotuje bez gazu?

- Na maszynie elektrycznej. O, tu stoi. Prąd opłacony, więc możemy korzystać. Zjesz jajecznicę z szynką?

. - Jajecznicę z szynką? - powtórzyła Sukie z niedowierzaniem. - Takie jedzenie dużo kosztuje. Za co pani kupiła?

- Wcale nie musiałam kupować i zaraz ci wytłumaczę dlaczego. Chyba zauważyłaś, że mieszkamy za miastem, prawda? Dzięki temu posiadamy kawałek ziemi i prowadzimy własne gospodarstwo. Mamy jajka od kur, szynkę od świń oraz warzy-

wa i owoce z ogrodu. Pomaga nam pan Buddy, który wykonuje cięższe prace, a zapłatę dostaje w naturze.

- W jakiej naturze?
- Dajemy mu jajka, mięso, warzywa, owoce.
- Bardzo musi się napracować?
- Nie jest tak źle; reszta wszyscy pracujemy. I jeszcze mamy czas na to, żeby piec chleb. Moja mama uznaje tylko domowy.

Dziewczynka oblizała się i po raz pierwszy uśmiechnęła.

- Chętnie zjem jajecznicę z szynką i domowym chlebem.
- Więc trzeba zakasać rękawy i zabrać się do roboty.

Przypasały fartuchy i przygotowały posiłek, który Sukie spałaszowała ze smakiem.

- To się nazywa jedzenie - powiedziała, klepiąc się po brzuchu. - Co teraz zrobimy?

- Pozmywamy naczynia.

- Ja mam zmywać? Nigdy tego nie robiłam i nie wiem, czy tatuś by mi pozwolił. —Zamyśliła się na chwilę. - Moja mamusia nigdy nie zmywała.

- Dziwna matka - mruknęła Laurie.

- Niech pani nie krytykuje mojej mamusi! - krzyknęła Sukie.

- A ja tobie zabraniam krytykować moją. Słyszysz?

- Nie jestem głucha... U nas nie było mycia naczyń - wyjaśniła - bo jedliśmy na papierowych talerzach.

- My używamy papierowych tylko wtedy, gdy urządzamy piknik w ogrodzie. Normalnie trzeba zmywać. No, musimy się spieszyć, bo trzeba przygotować pokoje.

- Nie będę zmywać. Nie jestem kuchcią.

- Chcesz się wykręcić, bo nie potrafisz, tak? I wstydzisz się przyznać?

- Wcale nie, wszystko umiem.

- Zaraz się przekonamy.

Sukie zaczęła pomagać, mrużąc coś gniewnie, a skończyła, wesoło podśpiewując. Nagie Laurie spojrzała na zegar i krzyknęła przestraszona.

- Co się stało?

- Zaraz mam zajęcia w szpitalu.

- Nie może pani opuścić?

- Nie, bo dziś ja uczę innych, więc nie wypada. Chodź, pokażę ci wasze pokoje i podczas mojej nieobecności powleczesz świeżą pościel.

- Sama?

Perspektywa kolejnego zadania nie wzbudziła entuzjazmu dziewczynki, która jednak posłusznie wysłuchiwała, jak ma przygotować łóżka. Laurie zostawiła ją pełna obaw i pojechała do szpitala. Na werandzie spotkała Harry'ego.

- Już po operacjach? - spytała, zaskoczona wyrazem jego twarzy.

- Tak. Było mniej, bo trzy ofiary zmarły. Podpici uczniacy wybrali się na wycieczkę starym gruchotem. Jeden miał czternaście lat... - Mason pochylił głowę i kilkakrotnie zamrugał.

- Jak spisuje się moja córka?

Laurie popatrzyła na jego ściągniętą twarz i nic nie odpowiedziała. Wzruszyło ją, że tak głęboko przeżywał śmierć chłopców. Widocznie był bardzo wrażliwym człowiekiem, ale nie chciał tego okazywać i dlatego często zachowywał się szorstko. Nagle Harry przytulił ją i delikatnie pocałował.

- Jak mi dobrze - szepnął.

- Mnie też, ale niestety muszę iść.

- A zatem do zobaczenia wieczorem.

Gdy około siódmej wróciła do domu, powitało ją chóralne pyta-

nie: „Co będzie na kolację?”. Zawahała się z odpowiedzią, ponieważ jeszcze nigdy nie musiała przygotowywać posiłku dla tylu osób.

- Mogą być grzanki z serem.
- Nie cierpię sera! - zawołała Sukie.
- Ale na grzance będzie ci smakować - zapewnił ją ojciec.
- Zawsze tak mówisz!
- Co zawsze mówię?
- Że będzie mi smakować.
- Będzie, i koniec dyskusji - uciał ojciec surowo, zbyt zmęczony, aby cierpliwie znosić kaprysy córki.
- Proszę pani, czy to naprawdę będzie dobre?
- Chyba tak: Spróbujesz i jeżeli naprawdę nie będziesz mogła przełknąć ani kęsa, wymyślę coś innego. Zgoda?
- Zgoda.

Dziewczynka podciągnęła rękaw, napluła na dłoń i wyciągnęła prawicę. Laurie błyskawicznie zrobiła to samo i ujęła wyciągniętą dłoń dziecka.

- Obrzydliwość! - mruknęła zde gustowana pani Michelson i odwróciła głowę.

- Mamo, to tradycyjny, wiejski sposób.
- Wiem, ale żeby przy stole? Niedobrze się robi.
- Mamo!

Zapadło przykre milczenie, które przerwał Mason, zwracając się do córki z pytaniem:

- Jak tam nasze pokoje? Podobają ci się?
- Tak. W twoim są aż trzy okna i olbrzymie łóżko. Ale u pani Laurie jest jeszcze większe.
- Oj, schodzimy na niebezpieczne tory - spieszył się Harry.
- Co by tu powiedzieć?
- Całą prawdę i tylko prawdę - podsunęła Laurie.

- Jakaś tajemnica? - spytała Sukie, zaskoczona zakłopotaniem dorosłych. - Proszę rni powiedzieć.

- Żadna tajemnica, dziecino. Twój tatuś i ja zaręczyliśmy się i niedługo pobierzemy, więc będziemy spać w jednej sypialni. Ale tatuś musi też mieć pokój do pracy, a poza tym w mojej szafie już nic więcej się nie zmieści.

- Aha.

Sukie obojętnie przyjęła tę wiadomość i bez przekonania zabrała się do jedzenia. Dorośli odetchnęli z ulgą.

- Wiesz, tato, że to dobre. Jedz, będzie ci smakować.

Nagle podejrzliwie zerknęła na Laurie i spytała:

- Pani chce wyjść za mojego tatusia?

- Tak.

- Moja mamusia na to nie pozwoli,

- Nie wiadomo.

- Czy będę musiała mówić do pani „mama”?

- Niekoniecznie. Jeżeli mama nie przejdzie ci przez gardło, możesz mi mówić po imieniu.

Mason najprędzej skończył jeść. Hałaśliwie odsunął krzesło i wstał.

- Przepraszam, ale muszę iść wypełnić stos formularzy.

Po jego wyjściu Sukie powiedziała:

- Mamusia mówiła, że prawie nigdy taty nie widzi

- Wierzę. - Laurie westchnęła. - Taki już los chirurgów. Z operacją rzadko można zwlekać. W szpitalu jest tylko dwóch chirurgów, więc mają pełne ręce roboty i zawsze muszą być do dyspozycji. Czy chciałabyś, żeby tatuś nie pomógł komuś, kto bardzo cierpi lub umiera?

- Nie - odparła Sukie po namyśle.

Tego wieczoru pani Michelson postanowiła wcześniej się położyć, gdyż obecność niespokojnego dziecka bardzo ją wyczerpała. Poprosiła córkę, aby towarzyszyła jej na górę. Kiedy wchodziły po schodach, spytała szeptem:

- Ta mała okropnie gra mi na nerwach. Może wyślemy ją do szkoły z internatem? Znowu byłby spokój w domu.

- Odpada.

- Więc może odzujemy jej matkę?

- To też nie jest rozwiązanie, mamó. Musisz pogodzić się z faktem, że Sukie będzie u nas przez wiele lat. To cena, jaką musimy zapłacić za dach nad głową i za to, że możesz żyć jak dawniej. Głowa do góry, jutro będzie lepiej.

- Albo gorzej. Kochanie, czy to prawda, że... że będziecie razem spać?

- Tak.

- Co ja powiem znajomym?

- Prawdę, czyli że wyszłam za mąż. Przecież tak ci na tym zależało.

- Niby tak - szepnęła pani Michelson i zamknęła się w sypialni, aby w spokoju przemyśleć zaistniałą sytuację.

Przez pierwsze trzy dni wszyscy mieszkańcy domu dopasowywali się do siebie. Sukie zajęła mocną pozycję, gdy okazało się, że ma trudny charakter, a dorośli chcą mieć święty spokój. Prędko poznała synów najbliższych sąsiadów, państwa Harringtonów, i często się z nimi bawiła.

Pewnego wieczoru, który doktor Mason wyjątkowo spędzał w domu, Laurie ostrożnie zagaiła rozmowę na dręczący ją temat.

- Harry, muszę ci coś powiedzieć. Mama uważa, że twoja

córka znalazła nieodpowiednie towarzystwo. Stale bawi się z synami Harringtonów. Co ty na to?

- Nic - odparł Harry, z trudem odrywając oczy od gazety.  
- Dzieci muszą nauczyć się żyć z różnymi ludźmi i nie powinniśmy im przeszkadzać. Zresztą mieszkamy w kraju, gdzie, zrządzeniem boskim, nie ma arystokracji i wszyscy są równi.

- Skąd wiesz, że to zrządzenie boskie? Jesteś wierzący?

Harry bacznie się jej przyjrzał i poważnie oznajmił:

- No, może trochę przesadziłem, ale na pewno wedle takiego zrządzenia za dzieci są odpowiedzialne kobiety. Czyli ty.

- Ja? Nawet, jeśli dziecko nie jest moje? Przecież Sukie to twoja córka.

- Teraz nie tylko. I zostawiam tę kwestię tobie, bo mam poważniejsze sprawy na głowie.

- A mocna ta twoja głowa? Tak? Czy wobec tego mógłbyś zająć się i tym?

Podawała mu kartkę papieru.

- Co to takiego?

- Rachunek za gaz. Już robi się chłodno, a nie możemy włączyć centralnego.

- Dużo zalegasz?

- Sporo.

- O, rzeczywiście... Wiesz, że postanowiono wystawić dom na sprzedaż kilka dni wcześniej? Czy powinienem coś wiedzieć, zanim go kupię?

- Targuj się, bo dach przecieka.

- To jedyna usterka?

- Jedyna, ale poważna.

- Liczę, że wiesz, co mówisz. Ale, ale, skoro mowa o długach, ty mi jesteś coś winna.



- Nie rozumiem.
- Rozumiesz, ale się łudzisz, że zapomniałem. No, chodź do mnie.

Laurie usiadła mu na kolanach. Harry objął ją i oddali się pieszczołom, których im obojgu brakowało przez długie lata samotności.

- Wieczorem, kiedy już wszyscy zasną - szepnął na zakończenie - przyjdę do naszego łóżka.

Laurie zmieniła się na twarzy i wykrztusiła:

- Do... naszego łóżka?

Nie czekając na odpowiedź, uciekła na górę. W sypialni gorączkowo zaczęła przeszukiwać półkę, na której leżały rzeczy po mężu. Odetchnęła z ulgą, gdy znalazła to, czego szukała. Znajdowała się w bardzo niepewnej sytuacji, więc nie chciała ryzykować ciąży. Przecież małżeństwo z Harrym Masonem mogło skończyć się po trzech próbnych miesiącach.

Wzięła prysznic, włożyła czystą nocną koszulę i się położyła. Była jednak zbyt podniecona, aby zasnąć. Poza tym, przeszkadzała jej wichura, która rozszalała się na dobre.

Długo przewracała się z boku na bok, lecz w końcu poczuła, że zasypia. I w tym momencie coś sobie przypomniała. Wyskoczyła z łóżka jak z procy, związała włosy w ciasny węzeł i zdjęła krótką, przezroczystą koszulę, a włożyła długą, flanelową. Wcale nie dlatego, że zrobiło się jej zimno.

Zupełnie odszedł ją sen. Słyszała, jak zegar wybija północ, godzinę pierwszą, drugą... A Harry jak nie przychodził, tak nie przychodził. Zmęczona czekaniem wreszcie zasnęła.

I wtedy przyszedł ten, na którego czekała. Wszedł jak duch. Każdy lekarz umie chodzić bezszelestnie, gdy w szpitalu cicho przemyka korytarzami, aby nie budzić pacjentów. Harry popa-

trzył na śpiącą, uśmiechnął się i rozejrzał po pokoju. Zauważył to, co dla niego przygotowała, obejrzał... i skrzywił się. Laurie widocznie nie pamiętała, że nic nie jest wieczne i że wszystko traci z czasem ważność.

Rozebrał się i wszedł do łóżka z zamiarem obudzenia Laurie. Nie zdążył wprowadzić zamiaru w czyn, ponieważ natychmiast zmożył go sen.

- Wczesnym rankiem Laurie zbudziła się i zerknęła w bok. Harry'ego nie było i gdyby nie zmięta poduszka, nie wiedziałaby, czy w ogóle przyszedł. Oczywiście nie wiedziała, jak się zachował. Usiadła, ziewnęła i przeciągnęła się leniwie. Chciała już wstać, gdy weszła Sukie, ciągnąc za nogę mocno zniszczonego pluszowego misia. Miała na sobie czerwono-białą pidżamę z wystrzępionymi mankietami.

- Pani spała z moim tatusem - rzekła z wyrzutem.

- Każdy gdzieś musi spać, prawda?

- Tata mógł spać u siebie. Pani ma taki duży dom i tyle pustych pokoi.

- Ale niewiele pościeli i kocy, a jest już bardzo chłodno. Tobie pewnie też nie było za ciepło. Chodź do mnie i się ogrzej.

Dziewczynka popatrzyła zezem i przez chwilę się namyślała. Potem rzuciła misia na łóżko i sama weszła pod koc. Przytuliła się do Laurie, która ostrożnie się odsunęła - ciało dziecka grzało niby piecyk. Myślała, że Sukie jeszcze zaśnie, ale się przeliczyła.

- Coś pani powiem.

- Co takiego?

- Mamusia i tatuś zawsze rano urządzali zapasy w łóżku.

- Zapasy? Ze mną to nie przejdzie, bo lubię długo spać, a twój tatuś pewnie wcześniej wstaje.

- Tatuś wygrywał, więc mu się podobało. Wstawał roześmiany i wesoło pogwizdywał.

- Mamusi też się te zapasy podobały?

- Gdzie tam. Mama tylko udawała, a jak tata wyszedł, to przeklinała go, zakrywała się po czubek głowy i spała dalej.

Zamilkły. W całym domu panowała cisza. Laurie chętnie poleżałaby dłużej, ale miała ochotę napić się kawy, a nie było nikogo, kto mógłby ją obsłużyć.

- Wiesz, Sukie - rzekła zamyślona - dziwi mnie, że opowiadasz takie rzeczy. Dlaczego to robisz?

- Bo pani nie jest pierwszą osobą, z którą tata bawi się w dom. A ja mam już tego dość. Ciagle ktoś nowy. Tamte panie zawsze mówiły, że się zaprzyjaźnimy, a po kilku dniach znikwały. Nie pamiętam, ani jak się nazywały, ani jak wyglądały. Więc pomyślałam, że jeżeli poważnie porozmawiamy, może pani nie zrobi tylu błędów i wytrzyma z tatą choćby miesiąc.

- Możesz mi dać przykład tego, co powinnam robić?

- Już dałam: zapasy rano. Na dziś starczy.

- Jutro też mi coś podpowiesz?

- A wytrzyma pani do jutra? - spytała powątpiewająco i pokręciła głową. - Nie wiem, czy się pani uda, bo tata najbardziej lubi blondynki. Może pomaluje pani włosy?

- Wykluczone. Za bardzo lubię kolor, jaki mam. - Laurie odrzuciła koc. - Wstajemy i idziemy na śniadanie.

- Ja na to jak na lato.

W drzwiach kuchni stanęły zaskoczone. Na środku siedział kundel, starym sznurkiem przywiązany do nogi od stołu. Pies był kudłaty, brudny i zawzięcie się drapał.

- Skąd on się tu wziął? - zawołała Sukie z niewinną miną,

która niezbigie świadczyła o tym, że doskonale wie, jak zwierzę znalazło się w domu.

- Nie zbliżaj się do niego - ostrzegła Laurie. - To jakiś przybłąda, bo nie ma obroży. I zapchlony, że strach. Trzeba mu strzelić...

- Za żadne skarby! - przeraźliwie krzyknęła Sukie. - Jest taki biedny. Nie wolno go zabić tylko dlatego, że się pani nie podoba.

- Ależ ja bardzo lubię psy i tego kudłacza wcale nie chcę zabić - zapewniła Laurie. - Nie pozwoliłaś mi dokończyć, że trzeba mu strzelić zastrzyk. Czyli go zaszczepić, bo takie są przepisy. Gdzie go znalazłaś?

- Na rogu ulicy. Ktoś przejeżdżał samochodem, otworzył drzwi i wypchnął psa. Okropne, prawda?

- Straszne - przyznała Laurie. - Tacy ludzie zasługują, na tęgie baty!

- Czy pani myśli, że... że tatuś...?

- .. .pозwoli ci go zatrzymać?

- Tak. Wiem, że to pani dom, ale jeżeli pani się zgodzi, to tata na pewno...

- Mylisz się, moja mała. Ten dom za parę dni będzie należał do twojego ojca i ostatnie słowo jest jego.

- Szkoda.

- Nic na to nie poradzimy. - Laurie zamyśliła się. - Twój tatuś pracował w wojsku, prawda?

- Tak.

- A ja, podczas studiów w Massachusetts, leż byłam jakby w wojsku.

- Czemu tak głupio pani zrobiła?

- Potrzebne mi to było do zaliczenia. Przez całe życie ciągle

potrzebuję jakichś zaliczeń. - Machnęła ręką. - Taki los,.. Ale istotne, co tam zauważyłam, a mianowicie, że oficerowie mieli dość blade pojęcie o tym, do czego służy nasz ekwipunek, za to doskonale widzieli, czy wszystko jest czyste i błyszczący jak słońce.

- Czyli trzeba wypucować Armanda, tak?

- To on tak się wabi? Też imię! -

- Lepsze takie niż żadne. Ma bardzo francuski wygląd, więc nazwałam go Armandem.

- Nieźle wymyśliłaś, kochanie, ale jest pewien szkopuł. Armand byłby dobry dla psa, a to zapchlone stworzenie jest suką. Wiesz co, najpierw go... ją nakarmimy, a potem spróbujemy wykapać. I jeśli tatuś pozwoli ci ją zatrzymać, to jutro pojedziemy do weterynarza i damy zaszczepić. A wabić się będzie Armanda

- Tatuś musi...

- Nie bądź taka pewna. Założę się, że ta psia nędza nie została odpowiednio wytresowana i jak zanieczyści dywan, będzie awantura. - Zauważyła, że dziecko nie bardzo rozumie, o co chodzi, więc dodała: - Proponuję, żebyśmy podzieliły ją na pół. Ja zostanę właścicielką przodu, więc będę ją karmić. Ty zostaniesz właścicielką drugiej połowy, tylnej i gdy psina nabrudzi, będziesz sprzątać.

Jak na dziewięcioletnie dziecko. Sukie Mason miała bardzo szybki refleks.

- Głowa należy do pani?

- Tak.

- Więc pani będzie pilnować, żeby Armanda nie szczekała? i będzie ją karmić?

- Tak.

- A ja mam część od ogona?

- Tak.
- Więc muszę ją wyprowadzać na dwór, żeby nie brudziła w domu?
- Oczywiście. Umowa stoi?  
Sukie uśmiechnęła się szeroko.
- .- Stoi.  
Laurie wyjęła z szafki puszkę z jedzeniem dla kota.
- Zostało po mojej Mimkie, bo za dużo kupowałam.
- Przecież to dla kota, a ja mam psa.
- Nie szkodzi. Zwierzę i tak się nie pozna.
- Może nie, ale...
- Tylko jej nic nie mów.
- Przecież to oszustwo. Ale dobrze, nie pisnę ani słowa przez dwa tygodnie.
- Jedyny kłopot to pozwolenie twego taty.
- Będę musiała wybrać odpowiedni moment. Zapytam go, gdy będzie miał dobry humor.
- Myślisz, że dzisiaj miał dobry?
- Chyba nie. Rano wyszedł nachmurzony.

I wrócił nachmurzony. Wszedł prosto do bawialni, zdjął buty i z ciężkim westchnieniem rozsiadł się w najwygodniejszym fotelu.

Laurie jeszcze pamiętała, jak należy zachować się, gdy zmęczony żywiciel rodziny wraca do domu. Po cichutku wstała, otworzyła barek i nalała kieliszek whisky. Harry jednym haustem wypił połowę i zaklął siarczyście.

- Dlaczego jesteś taki zły? Znowu był wypadek?
- Nie. Posiedzenie zarządu. Prosiłiśmy o nowe... A cóż to takiego?

„To" weszło do pokoju, przyjrzało się siedzącym i widocznie postanowiło, że woli mężczyznę. Zanim Laurie zdążyła cokolwiek wyjaśnić, Armanda zaszczekała na powitanie i nieproszone położyła łeb na stopach pana domu.

- To już szczyt wszystkiego!
- Jeszcze nie - szepnęła Laurie.
- Żądam natychmiastowego wyjaśnienia.
- Zapytaj swoją córkę. Ona za to odpowiada,
- Wcale nie - zawołała Sukię, która akurat wbiegła do pokoju i usłyszała ostatnie zdanie. - Dzień dobry, tatusiu - powiedziała grzecznie. - Ja nic nie muszę wyjaśniać, bo przód należy do pani Laurie.

- Jaki przód i co z tego?
- Tylko to, że ona szczeka przodem, a mój jest tył. Moja suka ma na imię Armanda.
- A na futrze ma pchły - rzekł ojciec, odpychając psa.
- Jeszcze nie wiadomo - powiedziała Laurie. - Za to wiadomo, że twoja córka ją polubiła i tylko to się liczy.

Mason wypił resztę alkoholu.

- Czy twojej matce podoba się takie rasowe zwierzę w domu?

Laurie nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ Sukię pospieszyła z wyjaśnieniem.

- Rano Armanda chciała liznąć panią Michelson w rękę, ale pani uciekła i cały dzień siedzi na górze.

- Mądra kobieta - pochwalił Harry.

Sukię popatrzyła na ojca błagalnym wzrokiem.

- Tatko, czy Armanda może zostać?
- Psiakrew, dlaczego ja mam decydować?
- Bo jesteś głową rodziny - powiedziała Laurie. - W myśl naszej umowy to pan domu podejmuje najważniejsze decyzje.

- Ale wpadłem! - poskarżył się Harry sam przed sobą. - Niech wam będzie. Pies może zostać pod warunkiem, że za dziesięć minut będzie obiad. Co dostanę?

- Jest pełno jedzenia dla kota - pisnęła Sukie.

Ojciec groźnie łypnął okiem i wstał.

- No, no, nie pozwalaj sobie za dużo. Armanda? Tam, do czorta!

Pies, przekonany, że ma iść za panem, wybiegł z pokoju.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Dwa dni później Mason rozżłościł się nie na żarty.

- Mało mnie obchodzi - krzyczał - ile razy psa kąpałyście i szczepiłyście. Nie będę z nim spał. Armanda, precz stąd!

Pies zaskomlił żałośnie, ale posłusznie zeskoczył z łóżka i wyszedł z sypialni.

Laurie odsunęła się najdalej, jak mogła.

- Przecież to moje łóżko. Czy słyszałaś, żebym narzekała, że ty się tu wpakowałeś?

- Jeszcze tego by brakowało - burknął Harry, zamykając drzwi za psem. - Lepiej, żebym nigdy nic podobnego nie usłyszał. Dziś zubożałem o dziewięćdziesiąt dwa tysiące dolarów, bo zapłaciłem za dom i wszystko, co jest pod jego dachem.

- Ja sama jestem warta dużo więcej - oświadczyła Laurie.

- Co jeszcze wymyślisz? - syknął Harry, dotykając jej uda lodowatą stopą.

- Że nie jestem poduszką elektryczną. Grzej sobie stopy w łazience.

- Mało romantyczne.

- W naszej umowie nie ma nic romantycznego - odcięła się z ironią.

W głębi duszy zawsze marzyła o romantycznej miłości.

Teraz, po kilku dniach wspólnego mieszkania, zauważyła zmianę w swych uczuciach w stosunku do Harry'ego Masona.

Gdy jemu coś się nie podobało, ją przeszywał zimny dreszcz, a gdy był zadowolony, zalewała ją fala szczęścia. Jego uśmiech powodował, że dostawała palpacji. Nie wiedziała, jak nazwać takie reakcje i bała się, że to po prostu głupota.

Poczuła rękę Harry'ego na piersi i zadrżała pod wpływem delikatnych pieszczot.

- Jaka jesteś miękka - szepnął, śmiejąc się gardłowo. - Taka powinna być prawdziwa kobieta.

- Przestań - burknęła gniewnie, odsunęła się i... spadła na podłogę. - Cholera!

- Łoże dla sześciu osób, a ta z niego zleciała...

- Tylko mi tego brakowało do szczęścia - syknęła. - Będę miała siniaki, a jutro idę na zajęcia w szpitalu. Co studenci powiedzą, gdy je zobaczą?

- Lepiej, żeby nic nie mówili. Niech no który się ośmieli! Zresztą możesz powiedzieć, że się zaręczyłaś i trochę pohulałaś.

- Chłodnym palcem musnął jej piersi. - Wracaj i sobie...

Laurie przewróciła się na brzuch i spytała:

- Co sobie?

- Pohulamy.

Zamiast wracać do łóżka, przykucnęła i się zamyśliła. Pamiętała, że pierwszy mąż zachowywał się inaczej.

Doszła do wniosku, że mężczyźni są różni. Harry wyszedł z łóżka i stanął przed nią wyprostowany. Powoli obejrzała go od stóp do głów i z zachwytu przestała oddychać. Był zbudowany potężniej niż Ralph. Nawet Herkules nie powstydziłby się takiego ciała.

Jęknęła, gdy ją podniósł i mocno przytulił.

- Boli cię coś?

Pokręciła głową. Nie chciała się przyznać, że jęknęła z zachwytu. Harry delikatnie ułożył ją na środku łóżka.

- Lepiej?

- Tak.

Położył się tuż obok, więc się odsunęła.

- Nigdy nie śpisz w pidżamie? - spytała nieśmiało.

- Nie. Masz coś przeciwko?

- Tak. Trochę.

Rozpiął jej koszulę na piersi.

- Pamiętasz jeszcze?

- Co mam pamiętać?

- Jak to było z mężem.

- Pamiętam, że przy tym nie rozmawialiśmy.

- Biedactwo. ~ Całując jej piersi, szeptał: - Jesteś bardzo piękna. Masz taką jedwabistą skórę...

- Jak każda kobieta... - Westchnęła z rozkoszą, ale poprosiła: - Zgaś lampę. Nie jestem przyzwyczajona, żeby... przy świetle.

- Stoi za daleko. Poza tym chcę cię widzieć.

Laurie wykręciła się i zdołała dosięgnąć lampy.

Harry mruknął coś pod nosem. Ona również.

- Nie wiedziałem, że kobiety potrafią kłąć.

- To niewiele wiesz.

Powoli przesunął dłoń niżej i Laurie z wrażenia przestała oddychać.

- Jak długo byłaś mężatką?

- Trzy lata. Dlaczego pytasz?

- Trzy lata? Wydaje mi się, że... niewiele wiesz.

Laurie przygryzła wargę. Nie ze strachu, lecz ze wstydu. Czowała, że niczego nie zdoła ukryć.

- Coś się popsuło między wami, prawda?

- Można i tak to nazwać.

- Gdzie on teraz jest?
- Był w więzieniu w Massachusetts - szepnęła ledwo do-  
słyszalnie.
- Tym najcięższym?
- Laurie była zadowolona, że zgasiła lampę, ale mimo to scho-  
wała głowę pod koc.
- Harry nie ustępował.
- C o dalej?
- Bardzo trudno przejeść przez mur.
- Wiem. No i co? - indagował, nakrywając się kocem.
- Nic. - Przygryzła wargę, aby się nie rozpłakać.
- Powiedz mi, bo i tak się dowiem.
- Dlaczego mam ci mówić?
- Bo chcę wiedzieć o tobie absolutnie wszystko.
- Cholera, ale jesteś wścibski.
- Jaki dostał wyrok? Za co siedział?
- Za wszystko. Za morderstwo, napad z bronią, i sprzedaż  
narkotyków.
- Musiałaś się rozwieść? Ile lat dostał?
- Dożywocie. Najpierw wyrok śmierci, ale zamienili mu na  
dożywocie. Dostałam rozwód, bo oskarżyłam go o molestowa-  
nie żony i dziecka.
- Masz dziecko?
- Miałam. Ralph zamordował naszego dwuletniego synka.
- Kiedy to było?
- Pięć lat temu. Związał się z mafią, bo uważał, że to dla  
niego wielka szansa. Najpierw narkotyki, potem napady. Wsa-  
dzili go do paki, jakoś stamtąd uciekł, ale go złapali. Potem  
ukradł radiowóz i uciekł na Zachód. Dla niego to były wspaniałe  
przygody. Rok później uczestniczył w jakiejś bójce między dwo-

ma mafijnymi gangami. Złapali go, ale znowu uciekł i wtedy przyjechał do domu. Nie wiedział, że mamy dziecko, krzyczał, że to nie jego. Przydusił synka płaszczem i rzucił się na mnie, ale wtedy wpadli policjanci. Sąd uznał, że popełnił wszystkie przestępstwa, o które go oskarżono. Rozwód dostałam bez trudu.

- To przez niego jesteś taka nerwowa?
- Tak. - Laurie otarła łzy. - Boję się jego ducha.
- Teraz już nie musisz. Ja zaopiekuję się tobą.
- Dziękuję.
- Nienawidził cię?
- Tak. Gdy go wyprowadzali, krzyczał, że się wydostanie i mnie znajdzie. Miałam nadzieję, że nie dowie się, gdzie mieszkam. Myślałam, że nie będę mogła spokojnie żyć, ale rok temu dowiedziałam się, że wśród więźniów wywiązała się bijatyka na noże i Ralph w niej zginął.

Harry objął ją i mocno przytulił. Długo płakała na jego piersi z żalu nad synkiem i nad sobą. Wreszcie usnęła.

Obudził się wczesnym rankiem, przysunął do Laurie i zaczął ją pieścić. Gdy się zbudziła, mruknęła gniewnie:

- Przestań, chce mi się spać. Mam dziś dużo zajęć i muszę być wyspana. Weź rękę. Nie zasnę, jeżeli będziesz tak robił.
- O to mi chodzi. Matka natura mądrze to urządziła.
- Przestań.

Chciała uderzyć go w rękę, lecz nie trafiła i pięć palców odcisnęło się na jej własnym brzuchu. Stęknęła z bólu i zawołała:

- Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju, ty... ty... samolubie?

Udało się jej wycisnąć z oczu dwie wielkie łzy.

- Widzisz, do czego mnie doprowadziłeś'?

- Ze łzami jesteś jeszcze piękniejsza - szepnął, całując jej mokre policzki i pieszcząc brzuch. - Odpręż się, a zobaczysz, jak ci będzie dobrze.

Posłuchała i przestała się opierać. Poddała się pieszczotom, jakich nie zaznała w ramionach pierwszego męża.

- Mamo! Tato! Zimno mi! - usłyszeli nagle.

Harry gorączkowo zaczął wygładzać pościel, a Laurie szukać koszuli. Niezdarnie ją włożyła i zapaliła światło.

- Po co przyszłaś? - spytała opryskliwie.

- Nie mogę spać, bo mi zimno. Słyszałam, że rozmawiacie...

- Musimy przedyskutować kwestie... sprawy związane z małżeństwem - powiedziała Laurie nieco niepewnie. - Trzeba uzgodnić setki drobiazgów.

- Ale mnie jest zimno.

- To chodź się ogrzać, u nas jest ciepło. Przyniosłaś misia?

- Zapomniałam, ale już po niego idę.

Harry spojrział na Laurie spode łba.

- Co tak patrzysz? To małe dziecko. Jest w nowym domu, w nowym otoczeniu i ma nową mamę. A za tydzień idzie do nowej szkoły. Potrzeba jej troski i serdeczności, żeby łatwiej się przystosowała.

- A ja muszę zapomnieć o sobie i moich potrzebach?

- Nie, kochanie, było cudownie. - Pocałowała go lekko i dodała półgłosem: - Zrobimy to jeszcze raz.

- Kiedy?

- Nie wiem. Ale jako dojrzały mężczyzna chyba możesz opanować się dla dobra dziecka, prawda? Sukie cierpi.

- Ja też. - Harry przewrócił się na bok i zakrył po brodę.  
- Jeszcze trochę, a będę musiał się leczyć. Wiesz, że mogę dostać pomieszenia zmysłów?

Zaczął chrapać. Chcąc się przekonać, czy zasnął, czy tylko udaje, powiedziała półgłosem:

- Jak ktoś ma zdrowy umysł, to mu się nie pomiesza. Zrobiłam to dla dobra rodziny.

- Zbytek troski - warknął Harry.

Postanowiła, że rano odpłaci mu za grubiaństwo. Harry obiecał sobie, że się zemści i weźmie ślub zaraz po śniadaniu, a potem hulaj dusza, piekła nie ma.

Sukie wróciła z misiem i... Armanda. Wzięła sukę pod pachę i razem z nią weszła do łóżka. Armanda liznęła Harry'ego w twarz.

- Przeklęte psisko! Idź, chcę spać!

- Przed kwadransem nie chciałeś - zauważyła Laurie z udaną słodyczą.

Sukie długo się wierciła, ale wreszcie ułożyła się między ojcem a Laurie. Armanda położyła się w nogach łóżka i niebawem wszyscy zasnęli.

Murarze przerwali pracę, gdy przed szpitalem zatrzymał się cadillac dyrektora. Przez całą drogę Mason jechał jak szalony, pani Michelson narzekała, Laurie milczała, a Sukie zadawała pytanie za pytaniem. Nie mogła zrozumieć, dlaczego muszą tak wcześniej jechać.

- Dlatego, że biorę ślub - odpowiedział ojciec, gdy dojechali na miejsce.

Zakręcił tak gwałtownie, że samochód zarzuciło i podniósł się tuman kurzu.

- Uważaj! - krzyknęła Laurie.

- Zamknij się! - burknął Harry.
  - Jakie czułe słowa dla panny młodej - mruknęła Laurie.
- Odwróciła się do Sukie i dodała: - Twój tata jest grubiański.
- Wiem.
  - Ale ja nie wiedziałam.
  - Trzeba było lepiej się przyjrzeć. Albo mnie zapytać. Mogłabym dużo powiedzieć.
  - Nie wątpię. - Laurie westchnęła. - Teraz powiedz mi tylko, jak wygląda moja suknia.
  - Lepiej niż moja. Szkoda, że nie włożyłam dzinsów.
  - Co ty pleciesz? - obruszyła się pani Michelson. - Na ślubie w dzinsach! Świat nie widział, ludzie nie słyszeli! Laurie, co zrobiłaś z moją butelką?
  - Zostawiłam w kuchni. Nie chcę, żebyś była podchmielona na moim ślubie. I prawdę powiedziawszy, znudziło mi się mieszkając z pijaną matką.
  - Czas najwyższy - mruknął Harry.
  - Zamknij się! - rzuciła Laurie.
  - Zamknijcie się! - krzyknęła Sukie.
- .'- No, wiecie państwo! - oburzyła się pani Michelson i odwróciła do wszystkich plecami.
- Jeżeli mamy zdażyć na ślub, to radzę wysiadać - powiedział Mason. - Dalej nie jadę.
- Sukie wyskoczyła z samochodu, wołając:
- Chcę wszystko zobaczyć!
  - Ja też - powiedziała Laurie.
  - Dlaczego nie masz białej sukni? - nagle zainteresowała się dziewczynka,
  - Znalazłam tylko taki odcień. Kość słoniowa. To była jedyna jasna suknia w sklepie. Dobrze w niej wyglądam?



- Bardzo dobrze, ale po co takie śmieszne coś na głowie?
- To ma być welon. Biblia mówi, że w kościele kobieta musi mieć nakrytą głowę. Ale mogę zdjąć...
- Nie warto. Tata mówi, że kobieta od czasu do czasu musi głupio wyglądać.

Mason wysiadł i trzasnął drzwiami.

- Wyglądasz pięknie, Laurie - rzekł, biorąc pannę młodą pod rękę. - A ty, mądralo, przestań się popisywać. Słyszałaś, co powiedziałem?

Sukie nie przejęła się groźnym tonem ojca.

- Spuścisz mi lanie? - spytała spokojnie.
- Kiedy ode mnie dostałaś?
- Nigdy. Ale mama nadrabiała to z nawiązką.

Drzwi otworzyły się i wyszła orkiestra. Wprawdzie nie cała orkiestra wojskowa, a tylko czterech mężczyzn i dwie kobiety. Jedna pielęgniarka grała na bębnie, druga na trąbce.

- Znasz ten utwór? - spytała Laurie półgłosem. - Kto stoi za nimi?
- Psycholog, która pracuje tu od wczoraj.
- Bardzo ładna.
- Tak? Nie zauważyłem.
- Cholera, kłamiesz, że aż się kurzy - syknęła Laurie.
- Mamusiu, nie wolno tak mówić - zawołała Sukie i spytała ciszej: - Czy już miałaś męża?
- Tak, kochanie.
- A dzieci?
- Teraz mam ciebie.
- To dobrze - ucieszyła się Sukie, biorąc ją za rękę. - Tato, wiedziałeś, że mama już raz brała ślub?
- Tak. No, wchodzimy. Kapelan czeka, widzicie?

- Jest trzeźwy? - spytała Laurie, która nie miała zbyt dobrego zdania o kapelanie.

- O czym tak szepczecie? - rzuciła gniewnie pani Michelson. - Sprzykrzyło mi się czekać.

Orkiestra ruszyła przodem, tuż przed nowożeńcami.

Zabrzmiał marsz weselny grany na organach.

- Kocham bracia i siostry... - zaczął kapelan.

Laurie słyszała wszystko jakby przez sen lub z oddali. Ocknęła się, gdy ceremonia dobiegała końca.

Cały personel szpitala złożył nowożeńcom serdeczne życzenia. Laurie naprawdę się wzruszyła, tym bardziej że niektóre osoby znała bardzo słabo. Na koniec podeszła doktor Ann Proctor, która chciała wziąć pana młodego pod rękę.

Laurie odciągnęła męża, mrużąc:

- Jesteś mój. Mój na wieki.

- Nie wiedziałam, że masz zamiar się żenić - zwróciła się doktor Proctor do Masona,

- Ja też nie. Do czasu, gdy spotkałem Laurie. Wiesz, jak to jest.

- Wiem. Jeden nieostrożny krok i jest się w sidłach. Jaka jest pani specjalność?

- Moja żona nie jest lekarką - pospiesznie odparł Harry.

- Jest aktorką, a tu ma kilka zajęć ze studentami.

- Co ty powiesz?

- To ci powiem.

- Osobliwe połączenie. - Doktor Proctor przygryzła wargę, ale po chwili spytała: - Ma pani duże kłopoty z Suzanne?

- Z Sukie? Skądże. Córeczko, prawda, że nie mamy żadnych kłopotów?

- Na razie nie - odparła dziewczynka, uśmiechając się łobuzersko.

Laurie nagle uderzyła myśl, że doktor Proctor jest przyjaciółką Harry'ego. Przeraziła się, że ona, jako ta trzecia, będzie pośmiewiskiem całego szpitala. Prędko jednak otrząsnęła się z przykrych, myśli i podażyła za wszystkimi do stołówki.

Tutaj goście dopisali bardziej niż w kaplicy; zjawiło się wiele nowych osób, którzy nie raczyli pofatygować się do kościoła. Laurie spytała matkę, czy to zauważyła.

- Normalne - pocieszyła ją matka. - Ludzie uwielbiają jeść za darmo. Ale to chyba świadczy o tym, że twój mąż cieszy się dobrą opinią.

- Dochodzi do szczytu drabiny. Jest prawie tak ważny jak aptekarz - rzekła Laurie z lekką ironią.

- Jeszcze nie tak, moja kochana. Ale jeżeli go wesprzesz, na pewno wysoko zajdzie. Gdzie u czorta podział się najlepszy alkohol?

- Prosiłam barmana, żeby po godzinie podawał gorszy. Nie jesteśmy milionerami.

- Skapirać - skarciła ją matka.

Maybelle Michelson czknęła głośno i ruszyła w stronę drzwi. Córka spod oka obserwowała jej chwiejny chód i nerwowo zaciskała kciuki. Gdy matka doszła do drzwi, odetchnęła z ulgą. Nagle poczuła czyjąś dłoń na ramieniu.

- Proszę zdradzić - zagadnęła doktor Proctor - jak się pani udało sprzątnąć nam sprzed nosa najlepszą partię?

- Sprzątnąć? - Laurie skrzywiła usta w wymuszonym uśmiechu. - Leżał biedak na ulicy, w rynsztoku i wyglądał jak ptak z przetrąconym skrzydłem. Każdy by się ulitował nad takim, wziął do domu i doprowadził do porządku.

Rywalka zaczerwieniła się i nieco speszyła.

- Moja droga, muszę panią poinformować, że on należał do

mnie. Był tylko i wyłącznie mój. Musiałam służbowo wyjechać do Europy, ale nawet mi przez myślenie nie przeszło, że jakaś Indianka mi go zabierze. Z tego wniosek, że mężczyźni trzeba zawsze pilnować... O, Harry, twoja urocza żona powiedziała mi, jak zakochała się w tobie. Teraz ty opowiedz swoją wersję.

Wzięła Masona za rękę i pociągnęła w tłum gości, akurat w chwili, gdy włączono adapter i zabrzmiała muzyka.

- Już zostałam na lodzie - mruknęła Laurie pod nosem.

Sukie pociągnęła swoją nową mamę za suknię.

- Dlaczego ta pani mówiła o Indiance?

- Bo chciała być złośliwa. Widocznie dowiedziała się, że w moich żyłach płynie krew Czirokezów. Czy przeszkadza ci, że twoja mama jest na pół Indianką?

- Nic a nic. Bardzo się cieszę. Pokażesz mi taniec wojenny?

- Na pewno nie tutaj. Zresztą zdradzę ci w tajemnicy, że wcale nie umiem tańczyć.

- Nie szkodzi. Chodź, mamo. zatańczymy razem. Nie przejmuj się tym, co ta pani powiedziała.

- Masz rację. Ale ja naprawdę nie umiem tańczyć.

- Nie martw się. Ja cię nauczę.

- Bardzo dziękuję.

- Idziemy. Grają walca.

Było to za dużo powiedziane, gdyż orkiestra jedynie starała się grać walca. Nagle pojawił się pan młody i poprosił pannę młodą do tańca.

- Ja pierwsza prosiłam - zbuntowała się Sukie.

- Panie nie tańczą z paniami.

- Tańczą, jak nie ma mężczyzn. A ty poszedłeś z tą jędrą i...

- Nie gadaj byle czego - uciał ojciec. - To mój ślub i moja żona. Najpierw ja z nią zatańczę, a ty potem.

- Czy wiesz, tato - zawołała Sukie, przekrzykując orkiestrę  
- że ożeniłeś się z Indianką?!

- Co ty wygadujesz?

- Nie wiedziałeś?

- Nie. I co z tego? Ma zamiar mnie oskalpować ?

- Może. Jak nie przestaniesz zadawać się z...

Dziewczynka tupnęła nogą. Mason pogroził jej palcem i, z żoną w ramionach, odpłynął na falach „Modrego Dunaju”. Albo czegoś bardzo podobnego.

Nie był wytrawnym tancerzem, więc braki nadrabiał entuzjazmem. Po trzecim okrążeniu parkietu Laurie nie mogła złapać tchu.

- Czy musimy tak... tak się spieszyć?

- Musimy, bo wszyscy na nas patrzą. Naprawdę jesteś Indianką?

- Naprawdę. Moja pra-pra-prababka była czystej krwi Czirokezką. Tylko nie mów mojej matce.

- Dlaczego?

- Bo wierz, że jesteśmy czystej krwi, ale z Georgii. Prze stań mi deptać po palcach. Widzę, że nie tylko ja nie umiem tańczyć.

- Nie krytykuj.

- Czy zauważyłeś, że tylko my tańczymy i nawet orkiestra się zmęczyła? A Sukie patrzy na nas, jakbyśmy się z choinki urwali. Zatańcz z nią.

- Jak to będzie wyglądać? Mężczyźni nie tańczą z dziećmi.

- Kobiety też nie. Biedne dzieci.

Gdy wreszcie przestali tańczyć, rozległy się oklaski. Harry uklonił się, objął żonę i pocałował w czoło, szepcząc:

- Niech no tylko zostaniemy sami...

- Ledwo mogę się doczekać. Ale oszczędzaj siły, bo nic z tego nie będzie.

- Tato, teraz moja kolej - pisnęła Sukie i pociągnęła ojca na parkiet.

Laurie odetchnęła.

- Pożałuje pani - usłyszała jadowity szept z boku. - Gorzko pani pożałuje.

Obok niej stała Ann Proctor. Laurie obrzuciła ją pogardliwym spojrzeniem.

- Możliwe - odparła, wzdychając. - Całkiem możliwe.

Po zakończeniu tańca Harry oświadczył, że czas wracać do domu.

- Czy mógłbyś mnie podwieźć? - spytała doktor Proctor słodkim głosem. - Jestem bez samochodu.

- Proszę bardzo. - Mason wziął ją pod rękę. - My zawsze bliźnim pomagamy.

Sukie przysunęła się do nowej mamy, pociągnęła ją za suknię i powiedziała głośno:

- Po jaką cholerę ona ma jechać? To jakby zabrać zmię!

- Sukie!

- Przecież to prawda.

- Dobrze wychowana panienka tak się nie wyraża.

- Każdy Mason się wyraża. Ty też się nauczysz, mamo. I chodź, bo mogą nas zostawić.

Laurie odwróciła się. Jej mąż i jego przyjaciółka już dochodzili do drzwi, pogrążeni w ożywionej rozmowie.

- Co racja, to racja - powiedziała, biorąc córkę za rękę.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

W piątek, tydzień po ślubie, Laurie wyjątkowo wcześnie wróciła ze szpitala. Sukie miała lekcje, a Harry operacje, po wypadku. Matka spała, a że w domu panowała cisza, jej chrapanie dochodziło z piętra aż na parter.

Laurie nalała sobie soku, zepchnęła psa z fotela, usiadła wygodnie i położyła nogi na stoliku. Cieszyła się, że odpocznie po ciężkim dniu.

Trzasnęły drzwi od kuchni, więc zdziwiona spojrzała na zegarek. Była pierwsza godzina, czyli za wcześnie na Sukie. A jednak to ona, w granatowej bluzce i kusej spódniczce, weszła do pokoju, wlokąc za sobą tornister. Jej twarz nosiła siady łez.

- Córeczko, co się stało?

- Mamusiu!

Sukie cisnęła tornister w kąt, a sama rzuciła się matce w ramiona. Laurie objęła ją i przytuliła do piersi.

- Serduszko, co ci jest?

- W klasie nikt mnie nie lubi.

- Dlaczego tak myślisz?

- Bo wszyscy się ze mnie śmieją.

- A to czemu?

- Krzyczeli, że biegam półnago. Stanęli naokoło mnie, ciągnęli za włosy, rzucali kredą i gumkami.

- Co na to wasza pani?

- Pani przyszła dopiero po dzwonku i wtedy.
- Co wtedy?
- Billy Bledler, największy łobuz, powiedział, że mój tata jest konowałem, a mama to dzikuska. Nie wiem, dlaczego tak mówił, ale zdzieliłam go w brzuch i się przewrócił. Wtedy go kopnęłam i... stłukłam mu okulary. Na to weszła pani Wilson.
- Przerwała, aby zaczerpnąć tchu. - Pani wyrzuciła mnie z klasy i kazała siedzieć w korytarzu na rozklekotanym krześle i... - Rozpłakała się z bezsilnej złości. - Nikt nie ma prawa mówić, że tatuś jest konowałem, a mama dzikuska! Nikt!
- Masz rację. Co było potem?
- Pani dyrektor napisała do was i kazała mi iść do domu. - Wytarła mokre policzki, - To wszystko.
- Fatalna sprawa - powiedziała Laurie cicho. - Pokaż tę uwagę.
- Nie mam. Nie chciałam, żebyście się denerwowali, więc podarłam na kawałki i wyrzuciłam. Ale nasza pani mnie przyłapała i powiedziała, że zadzwoni wieczorem.
- Przestała płakać, usiadła i z niepokojem spojrzała na Laurie.
- Mamuchna, powiedz, że nie jesteś na mnie wściekła.
- No, nie za bardzo - rzekła Laurie z ociąganiem. - Ale zadowolona też nie jestem. Brzydko się zachowałam. Nie wolno kopać nikogo, a szczególnie leżącego. - Westchnęła ciężko.
- Wiesz co, chodźmy do kuchni i tam zastanowimy się nad całą sprawą. Wypijesz mleko i zjesz ciastko.
- Kupne?
- Nie. Moje dzieło.
- Z dumą postawiła na stole własnoręczny wypiek.
- Czekoladowe babeczki! - rozpromieniła się natychmiast Sukie. - Moje ulubione.



- Bardzo się cieszę, bo to jedyne, co potrafię upiec.
- Nie wierzę ci, mamó. Na pewno umiesz piec dużo pysznych rzeczy.

- Pochlebstwem daleko zajedziesz, dziecino. Chwal mnie dalej. Sukie uśmiechnęła się radośnie i zabrała do jedzenia.

Laurie wpatrywała się w pełną wyrazu twarz dziecka i rozmyślała nad tym, co usłyszała. Obelgi chłopca dźwięczały jej w uszach. Usiłowała dociec, czy było w nich głębsze znaczenie, czy tylko wyzwiska, które chłopiec gdzieś usłyszał. O niej powiedział, że jest dzikuską. Czy to znaczyło, że skądś wiedział o jej indiańskim pochodzeniu? Nie, raczej niemożliwe. A może Sukie coś przekreśliła? Zamarła, gdy nagle uświadomiła sobie, jakie to mogło być słowo.

Sukie poprosiła o drugą szklankę mleka i wyciągnęła rękę po ostatnie ciastko, gdy do kuchni wszedł ojciec.

- Co widzę? Ciastka? Też chętnie zjem.
- Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi. Już ostatnie - powiedziała żarłoczna córka i zakryła ciastko. - Nie ma ani jednego.
- Nie podzielisz się, chytrusie? - spytał ojciec ze smutną miną. - Ale, ale, co robisz w domu o tej porze?

Mała jeszcze raz opowiedziała całą historię, nic nie ubywając.

- Jak ten chłopiec nas nazwał?

Powtórzyła słowo „konował” z gniewem, a „dzikuska” raczej obojętnie,

- Konował - mruknął chirurg. - Ludzie często tak nazywają lekarzy, ale to nie najbardziej obraźliwe określenie. Gorzej z tym drugim słowem.

Sukie zauważyła, że rodzice wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Hmm... tego... Lepiej zmieńmy temat. Wiecie, dlaczego

wróciłem tak wcześnie? Bo muszę jechać na zebranie do Atlanty. Córuś, zabierz się do odrabiania lekcji, a my pójdziemy spakować walizkę.

Laurie nie zdążyła nawet otworzyć ust, ponieważ mąż ujął ją pod ramię i stanowczym gestem wyprowadził z kuchni. Bez słowa zaprowadził do sypialni i zamknął drzwi na klucz.

- Co ci strześliło?

Nie odpowiadając, rzucił ją na łóżko.

- Brutal. Mogłam złamać rękę.

Popatrzyła na niego ze złością i ciasno zawinęła spódnicę wokół nóg.

- Nie jesteś taka znów krucha - rzucił Harry, pospiesznie się rozbierając.

- Ale...

- Pomyślałem, że jadę daleko i nie wiadomo, czy wrócę. Tyle wypadków... Może to moja ostatnia przyjemność w życiu. Nie chcę być całkiem stratny.

Zdjął resztę ubrania i położył się obok Laurie.

- Więc to tak.

- A tak. Lepiej nie tracić żadnej okazji. - Zaczął rozpinąć jej bluzkę. - Potem jest co wspominać. Zgadzasz się?

Laurie chciała powiedzieć coś dowcipnego, lecz nic nie przyszło jej do głowy.

- Nie rozbieraj mnie, bo się nabawię kataru - wymyśliła w końcu.

- Spokojna głowa - Harry zakrył jej nagie piersi dłonią. Widzisz, jak dbam, żebyś się nie przeziębiła? Mąż jest najlepszym lekarstwem na wszystko. A ty w dodatku masz najlepszego męża pod słońcem, więc nie grozi ci żadna choroba. Rozumiesz?

Skinęła głową, ponieważ zaczynała rozumieć coś innego. A

mianowicie to, że Harry Mason wiedział dużo więcej niż jej pierwszy mąż i znacznie częściej stosował wiedzę w praktyce. Teraz całował ją i pieścił tak, że zaczęła cała drżeć.

- Co robisz?! - krzyknęła, czując, że jego ręka sięga coraz niżej.

- Nie wiesz?

- Nie. Przecież mieliśmy...

- ..poszaleć przed moim wyjazdem.

Gorączkowo zastanawiała się, co powiedzieć, lecz gdy poczuła rozpalone ciało Harry'ego, przestała myśleć. Nieco później - całe wieki później - szepnęła bez tchu:

- Sądziłam, że nie będziemy tego robić. Powiedziałeś...

- Nie ja, tylko ty sama mówiłaś.

- Ale się ze mną zgodziłeś.

- Teraz zmieniłem zdanie.

- Człowiek bez charakteru.

- Pomyślałem, że Sukie nie powinna być sama, bo jedynaczki źle się chowają. Chyba przyznasz mi rację?

- Bo ja wiem... - Drgnęła nerwowo i chciała się odsunąć. Perspektywa zafundowanie Sukie rodzeństwa oznaczała, że będą konieczne takie... szaleństwa jak teraz. I to często. Jeden raz na pewno nie wystarczy. Poczowała ucisk w gardle i z trudem przełknęła ślinę.

- Widzę, że jesteś tego samego zdania, więc jeszcze raz zadajmy o przyszłe pokolenie.

- Możesz dwa razy?

- Nie chcę się chwalić, ale ja dużo mogę.

- Wiesz... nie zabezpieczyłam się - znalazła wymówkę.

- Za pierwszym i drugim razem też nie, prawda? Radzę ci, traktuj prokreację jako rekreację i się nie martw.

- Och!
- Przestań wzdychać i się wykręcać.

Zajęli się działalnością na rzecz przyszłych dzieci tak długo, jak pozwoliło im na to dziecko, które już mieli.

Porównując Harry'ego z Ralphem, Laurie doszła do wniosku, że ma nader mizerne doświadczenie. Ralph był nieczuły i zawsze się spieszył, a Harry udowodnił, że jest wytrawnym kochankiem.

Nagle usłyszała pukanie do drzwi.

- Dlaczego tak krótko? - poskarżyła się i zdziwiła, że ośmieliła się coś podobnego powiedzieć.

- Tato! Tato! - Sukie dobijała się coraz natarczywiej.

Harry udawał, że nie słyszy.

- O co chodzi, skarbie? - zawołała Laurie.

- Przyjechała jedna pani ze szpitala. Trąbi i trąbi. Babcia jest wściekła, że ją obudziła. Tato?!

- Nie krzycz, bo tatuś się zdrzemnął. - Rozminęła się z prawdą, bo Harry miał otwarte oczy. - Jaka pani przyjechała?

- Ta okropna, co była na ślubie.

- O, do czorta! - Tak długo potrząsała mężem, aż zamknął jedno oko. - Przyjechał ktoś po ciebie i trąbi jak na Sądzie Ostatecznym.

- Kto taki?

- Nie wiem, ale z tego, co Sukie mówi, wynika, że...

- Ann Proctor?

- Tak.

- Zarzucę szlafrok i...

- Nie gadaj głupstw. Jesteś spocony, więc najpierw musisz się umyć. Przeszarżowałaś, Casanovo. Zejdę i postaram się obłaskawić tę tygrysyce.

- Przeszarżowałem? - Harry poczuł się dotknięty w swej męskiej dumie. - Mogę powtórzyć.

- Wierzę ci kochanie, ale nie radzę, bo mógłbyś dostać przepukliny. A szkoda by było. Więc na dziś dość rozrywki.

Zaczęła się ubierać i jakby od niechcienia zapytała:

- Jedziecie razem?

- Tak. Nie mówiłem ci?

- Nie. Widocznie tylko zamierzałeś.

Przysięgła sobie, że mu tego nie zapomni i po jego powrocie na pewno o tym porozmawiają. Zastanawiała się, czy reaguje tak, ponieważ jest zazdrosna. Zdziwiła się. Ich związek został wykalkulowany na zimno, więc nie rozumiała, dlaczego nagle ogarnia ją uczucie podobne do zazdrości. I to tylko dlatego, że mąż wyjeżdżał na delegację z koleżanką po fachu. Pomyślała z goryczą, że nie umie na chłodno przystosować się do świata i życia. Czowała, że zbyt mocno przywiązała się do Harry'ego. Włożyła podomkę, uczesała włosy i wyszła na korytarz.

Sukie przyjrzała się jej krytycznym okiem.

- Mamo, dlaczego nie jesteś porządnie ubrana?

- Jestem. Przecież mam porządną podomkę. Nie podoba ci się?

- Tak sobie. Za dużo koronek i za mocno prześwieca. Co ta pani powie, jak cię zobaczy?

- Zaraz się dowiemy. Skocz i powiedz, że już idę.

W policzkach Sukie ukazały się dołeczki i dziewczynka zbiegła po schodach roześmiana. Z dołu krzyknęła: .

-Jesteś słodka!

- Jak dla kogo - szepnęła Laurie. - Jak dla kogo.

Odczekała dwie minuty i bardzo powoli zeszła na dół. Ann Proctor siedziała w salonie na brzegu krzesła. Miała taką minę,

jakby robiło się jej niedobrze na widok podniszczonych mebli bez określonego stylu.

- Nareszcie! - rzuciła niecierpliwie. - Ciekawe, dlaczego tak długo wkładała pani tak niewiele.

- Długo? - powtórzyła Laurie. - Może. Nie mam zbyt dobrego wyczucia czasu. Poza tym mąż lubi patrzeć, jak się ubieram i rozbieram, więc nauczyłam się robić to powoli, żeby mu sprawić przyjemność. Pani chyba mnie rozumie?

Sukie zaczęła chichotać, więc pogroziła jej palcem.

- Nie rozumiem, o czym pani mówi - wycedziła doktor Proctor, pogardliwie wykrzywiając usta. - Jak długo jeszcze Harry każe mi czekać?

- Nie mam pojęcia. Mój mąż robi, co chce, jak chce i kiedy chce. Sądzę, że pani wie o tym lepiej ode mnie.

Ann Proctor zaczerwieniła się. Laurie Mason lekko się uśmiechnęła. Sukie, siedząca za plecami gościa, zrobiła komiyczną minę. I w tej chwili weszła pani Michelson, ciężko wsparta na lasce.

- Laurie, dlaczego nie powiedziałaś mi, że mamy gościa? - spytała z pretensją w głosie.

- Właściwie nie mamy - odparła córka. - Doktor Proctor przyjechała ze szpitala po Harry'ego.

Tacy goście nie interesowali pani Michelson.

- Pracownica szpitala? Harry nie powinien ściągać tu personelu. Wiesz, nie mogę znaleźć wina.

- Nic dziwnego, bo wczoraj ktoś wszystko wypił, a drugiej butelki nie ma.

Rozmowę przerwało wejście Harry'ego.

- Witam, miłe panie - rzekł pogodnie.

Laurie popatrzyła na niego zdumiona. Przed kwadransem

zdawał się być bez sił, a teraz tryskał energią. Zastanowiło ją, czy udaje, czy rzeczywiście prędko się regeneruje.

- Jesteś gotów?-odezwała się Ann Proctor.

Harry niedbale machnął ręką, lecz nie zdążył nic powiedzieć, ponieważ jego teściowa nagle odwróciła się do gościa, pytając:

. - Pani nazywa się Proctor?

- Tak, proszę pani.

- Przed laty znałam Proctorów, którzy pochodzili z nizin, dorobili się i wspięli się na wyżyny. Może to pani krewni?

- Chyba tak.

- Mieli przykry zwyczaj niepłacenia rachunków, czym mego świętej pamięci męża doprowadzali do białej gorączki. Jedna z córek została nauczycielką i wyszła za Wilsona.

- To moja siostra.

- Tak? Największa plotkara w całym stanie i okropna mąciwoda. Ma jadowity język.

- Moja wychowawczyni też nazywa się Wilson - zawołała Sukie. - Nie lubi mieszaińców. Kiedy powiedziałam, że moja mama jest Indianką, kazała mi usiąść w ostatniej ławce, żeby nikt się ode mnie nie zaraził.

- Takie rzeczy nie są zakaźne - rzekł ojciec - lekarz. - W dawnych czasach Czirokezi byli panami całych połaci ziemi, od gór aż do rzeki...

- .. .Missisipi - podpowiedziała Laurie.

- Czas na nas - szepnęła Ann Proctor.

Harry wyciągnął z kieszonki złoty zegarek.

- Rzeczywiście. Sukie, przypomnij mi, jak dzieci nas przeżywały.

- Mówiły, że ty jesteś Konował.

- A mama?

- Że jest dzika. Za to właśnie Billy Bledler oberwał ode mnie. A mnie ukarano, bo podobno się awanturuję. Nie pozwolę, żeby tak przezywano moich rodziców. Tato, mam rację?

- Najzupełniej..

Laurie zdało się, że usłyszała szloch, więc rozejrzała się po pokoju. Nikt nie płakał, tylko matka śmiała się z cicha.

- Zwróciła się do najwyższej instancji - rzekła pani Michelson z przekąsem.

- Co to znaczy? - zapytała Sukię.

- Że tatuś się tym zajmie - odparła Laurie.

Sukię krzyknęła uradowana i rzuciła się matce na szyję.

Laurie opadła na najbliższe krzesło i przytuliła dziecko.

- Zrobisz to, tato?

- Tak. Wszystko wyjaśnię. Ale teraz musimy ruszać. Idziemy, Ann. Po drodze porozmawiamy sobie o awanturze i... twojej kuzynce.

- Nie kuzynce, tylko siostrze - sprostowała pani Michelson.

Doktor Proctor usiłowała się uśmiechnąć, lecz szła jak na ścięcie.

- No, możemy swobodnie odetchnąć - powiedziała Laurie po wyjściu niepożądanego gościa. - Chodźmy do kuchni. Zrobię jagodzianki.

Pani Michelson patrzyła na nią bez słowa, z ponurą miną.

- Mamo, chcesz wiedzieć, gdzie jest pół butelki Chardonnay? - dorzuciła z przekornym uśmiechem. - Jeszcze trochę zostało.

Maybelle Michelson rozchmurzyła się i w drodze do kuchni zagadnęła:

- O co ta cała awantura?

- Powiem ci w skrócie. Kolega Sukię określił nas słowami,



których ona nie ma w swoim repertuarze. A przed chwilą, dowiedzieliśmy się, że doktor Proctor jest siostrą wychowawczyni.

- Aha.
- Coś mi się zdaje, że ktoś maczał w tym palce.
- Aha - powtórzyła matka i rozejrzała się. - Gdzie to obiecał Chardonnay?

Laurie podała butelkę i zajęła się robieniem ciasta, lecz kątem oka obserwowała matkę. Maybelle Michelson dawniej piła tylko symbolicznie, ale kiedy zabrakło pieniędzy, zaczęła szukać pocieszenia w alkoholu. Przez lata w piwnicy zawsze znajdował się duży zapas wódek i win, ale ostatnio zmalał. Teraz starsza pani siedziała wpatrzona w butelkę, której jakoś nie otwierała.

Rozległ się dzwonek przy drzwiach. Sukie natychmiast poszła otworzyć.

- To moi koledzy. Czy mogę iść się bawić? Kiedy będą jagodzianki?

- Zdażycie się pobawić - zapewniła Laurie. - Zrobię większe dla nas i mniejsze specjalnie dla was.

- Hurra! - krzyknęła Sukie i wybiegła w podskokach.

- Czy zauważyłaś - odezwała się pani Michelson - że to dziecko jest z każdym dniem szczęśliwsze?

Laurie zastanowiła się i pokiwała głową.

- Chyba masz rację.

- A ty?

- Ja chyba też. Przestały mnie męczyć te koszmarne sny. A ty, mamusiu?

- Ja też. Nie masz pojęcia, jaka to ulga, że nie muszę się martwić o płacenie rat za dom i o naprawy. Twój mąż, mimo że tylko chirurg, jest całkiem do rzeczy.

Laurie Wybuchnęła zduszonym śmiechem.

- Dobrze, że nie słyszy, jak lekceważąco wyrażasz się o jego zawodzie. Wśród lekarzy chirurdzy stoją najwyżej.

- Ale w mojej opinii nie tak wysoko jak aptekarze. Twojemu ojcu nikt nigdy nie dorówna. Nikt.

- Oczywiście - przyznała Laurie, chociaż miała odmienne zdanie.

Nagle za oknami rozległ się przeraźliwy krzyk, więc rzuciła ciasto i wybiegła. Sukie palcem wskazywała basen, krzycząc rozpaczliwie:

- Sean! Neil! Nie umieją pływać!

Z basenu dochodziło wołanie o pomoc. Chłopcy wpadli do wody; ten bliżej brzegu jakoś sobie radził, ale drugi tonął.

Laurie zrzuciła podomkę i z rozpędu wskoczyła do wody. Sukie pobiegła w stronę, w którą płynął mniej zagrożony kolega, i też wskoczyła do basenu. Laurie obejrzała się i uznała, że córka sobie poradzi. Uspokojona popłynęła do tonącego dziecka.

Przerażony malec wczepił dłonie w jej włosy i pociągnął ją na dno. W młodości Laurie trzykrotnie wygrała konkurs dla ratowników i tylko dzięki temu w mgnieniu oka przypomniała sobie, co należy zrobić. Przewróciła chłopca na plecy, podpłynęła pod niego, objęła jedną ręką i z trudem popłynęła do brzegu, uspokajając zsiniałe dziecko. Dotarła szczęśliwie, wyciągnęła chłopca i zaczęła wypompowywać mu wodę z płuc. Sukie pomagała drugiemu koledze wydostać się z basenu.

Ktoś widocznie wezwał pomoc, ponieważ zajechała karetka oraz dwa samochody - z lokalnej gazety i telewizji. Reporterzy wyskoczyli i zaczęli robić zdjęcia Sukie i Seanowi.

- Barany! Lepiej pomóżcie dzieciom! - krzyknęła Laurie.

Reporterzy jakby nie słyszeli. Ludzie z telewizji, zajęci usta-

wianiem reflektorów, nie przerwali zajęcia. Na ratunek pospieszyli pielęgniarze.

Wokół basenu prędko zgromadził się tłum. Przybiegli również rodzice chłopców, ponieważ ktoś ich zawiadomił, że synowie jadą do szpitala. Bill Harrington z trudem przepchnął się do karetki.

- Panowie, to moi synowie.

Rose Harrington była blada jak trup.

- Proszę mnie przepuścić do dzieci - błagała.

Policjant zauważył ich i zawołał:

- Proszę się rozstąpić. Proszę tędy. Niech się państwo uspokoją. Dzieciom już nic nie grozi.

Przemoczona i zapłakana Sukie złapała pana Harringtona za rękę.

- Nie wiedziałam, że oni nie umieją pływać. Przepraszam.

Pan Harrington pogłaskał ją po głowie.

- Nie płacz, dziecko. Nie twoja wina.

Lekarz odwrócił się i powiedział:

- Dzięki tej dziewczynce i jej matce chłopcom nic się nie stało. Ale zabieramy ich do szpitala na badania. Ktoś z państwa może się z nami zabrać.

- Jedź z nimi - rzekł pan Harrington do żony. - Ja skoczę po ubezpieczenie i zaraz tam będę. Przestań płakać - dodał, obejmując ją i całując. - Z chłopcami tak zawsze, muszą szukać guza.

Laurie siedziała skulona na krawędzi basenu i niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w wodę. Dziękowała Opatrzności za to, że chłopcy nie utonęli. Do głowy jej nie przyszło, że basen może stanowić zagrożenie dla dzieci. Płot był wysoki, a furtka zamknięta na klucz. Nigdy nie sądziła, że o tej porze roku

ktokolwiek zechce pływać. Nie wzięła pod uwagę chłopców, zawsze i wszędzie szukających przygód.

Pani Michelson przyniosła córce płaszcz kąpielowy.

- Ubiierz się. Jak ci nie wstyd pokazywać się ludziom w samej bieliźnie? Mam nadzieję, że gazeciarze nie zrobili ci zdjęcia. Zauważyłam, że ty bardziej ich interesujesz niż topielcy.

- Robiono zdjęcia? Nie widziałam.

Poczuła zimne dreszcze, więc czym prędzej włożyła płaszcz. Po odjeździe karetki ludzie otoczyli ją, jej matkę i córkę i zasy-pali pytaniami. Nagle zorientowała się, że ktoś znowu robi zdjęcia, więc odwróciła się i chciała iść do domu. Natknęła się na policjanta. Na szczęście był to znajomy, który pomógł im prze-pchnąć się przez tłum i odprowadził do domu.

Pani Michelson podziękowała mu i poprosiła, aby usunął ludzi za ogrodzenie. Policjant natychmiast spełnił jej polecenie i też odszedł.

Kiedy córka i wnuczka znalazły się w domu, Maybelle Michelson starann łązienki, napaściła gorącej wody, rozebrała Sukie, wsadziła ją do wanny i poszła do drugiej łązienki.

- Laurie, na co czekasz? Rozbieraj się i wchodź do wody! Chcesz się przeziębić?

- Chce mi się spać. Idę do łóżka.

- Najpierw do wanny - nie ustępowała matka. - Musisz się rozgrzać. Szybciej, szybciej - mówiła, popychając córkę.

Laurie zanurzyła się w gorącej wodzie i westchnęła.

- Ale błogo. - Zamknęła oczy. - Lepiej nie będzie nawet w niebie.

- Otwórz oczy! Nie śpij! - Matka potrząsnęła nią mocno.

- Nie utop mi się, kiedy będę z Sukie. Słyszysz, co mówię?

- Słyszę, mammo.

Pani Michelson prędko uporała się z dzieckiem i wróciła do córki.

- Nie chce mi się ruszyć - poskarżyła się Laurie, gdy matka szarpnęła ją za rękę. - Boli! - krzyknęła i wstała tak gwałtownie, że opryskała matkę od stóp do głów.

- Przemoczyłaś mnie do suchej nitki! Teraz i ja muszę się przebrać - rzekła niezadowolona pani Michelson. - Ale przynajmniej mam pewność, że mi nie utoniesz. Nie zaśniesz na stojąco?

- Nie, mammo, możesz być spokojna. Dziękuję ci za pomoc.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy - podsumowała pani Michelson sentencjonalnie i podniosła kieliszek do ust. - Fe! - Skrzywiła się i podejrzliwie popatrzyła na córkę. - Coś ty mi dała?

- Ożywczy napój bezalkoholowy - odparła Laurie z niewinną miną. - Jeśli ci nie smakuje, przyniosę gorącą czekoladę.

Siedziały na jednym fotelu razem z Sukie. Obie były opatulone kocami i piły czekoladę. Pani Michelson zirytowała się i wycodziła zimno:

- Zabrakło winą?

- Chwilowo tak.

Laurie włączyła telewizor, aby obejrzeć dziennik i nerwowo drgnęła. Coraz bardziej zde gustowana wpatrywała się w ekran, na którym widziała siebie... w bieliźnie.

Podczas wypompowywania wody z płuc Seana jej pełne piersi w przezroczystym staniku były na pierwszym planie. Spłonęła gorącym rumieńcem, jęknęła i skuliła się, zmieszana. W następnym ujęciu pokazano ją z tyłu, ale potem, gdy wkładała płaszcz... Zakryła oczy.

- Litości! Chyba spałę się ze wstydu! - krzyknęła ze łzami w oczach.

- Czemu mnie nie pokazali? - zgłosiła pretensje Sukie. - Ja uratowałam Neila.

- Pokazali cię, gdy rozmawiałaś z rodzicami kolegów - powiedziała pani Michelson. - Nie zauważyłaś?

- Byłaś przyzwoicie ubrana - mruknęła Laurie do siebie, lecz córka ją usłyszała.

- Moja suknia była bardziej przemoczona niż twoje bikini - rzuciła nieprzejednana i pokręciła głową. - To niesprawiedliwość.

- Wolę nie myśleć o tym, co mówi doktor Proctor, jeśli też ogląda dziennik. I boję się, że twój tatuś uwierzy we wszystko, co ona wygaduje - powiedziała Laurie.

Zmartwiła się, że ich małżeństwo skończy się w chwili, gdy poczuła się szczęśliwa. Nie poznała Harry'ego zbyt dobrze i nie wiedziała, jak zareaguje.

Nagle groźnie spojrzała na Sukie.

— O, coś mi się przypomniało, ty wisusie. Jakim cudem chłopcy znaleźli się w basenie? Płot jest bardzo wysoki, a furtka była zamknięta na klucz. Przefrunęli?

Dziewczynka zwiesiła głowę i odparła cicho:

- Nie. Ale Neil naśmiewał się ze mnie, bo nie chciałam pokazać im basenu z bliska. Więc przyniosłam klucz i ich wpuściłam. - Nieśmiało spojrzała na matkę. - Myślałam, że tylko przejdziemy się naokoło, ale jak zobaczyli rower wodny, wskoczyli bez pytania. - Zaczerwieniła się i rozpłakała. - Pamiętam, że zakazałaś mi wchodzić do basenu, gdy nikogo nie ma. Daję słowo, że nie wiedziałam, co oni robią. Chciałam tylko pokazać basen z bliska.

Laurie pogłaskała córkę po głowie i otarła mokre policzki.

- Całe szczęście, że zaraz przybiegłaś po pomoc. I dzielnie się spisałaś, pomagając Neilowi. Widzę, że ci przykro, ale byłaś nieposłuszna, więc nie minie cię kara.

- Jaka? - spytała zapłakana Sukie.

- A jak tatuś karze cię za nieposłuszeństwo?  
 - Bierze mnie na kolana, tłumaczy, dlaczego źle postąpiłam i mówi mi; jak dobrze wychowana panienka powinna postępować. Ale ja nie jestem dobrze wychowaną panienką!

Laurie z trudem zduśiła uśmiech cisnący się jej na usta.

- Czasami jesteś. Ale karę musisz ponieść. Zanim coś wymyślę, pójdziesz przeprosić państwa Harringtonów oraz chłopców. Kolegom powiesz, jakie u nas obowiązują zakazy i nakaazy. Nie wolno wchodzić przez płot ani otwierać furtki. Pod nieobecność dorosłych wchodzenie do basenu jest surowo zabronione. Rozumiesz?

- Tak - szepnęła Sukie, ocierając łzy.

- Dla większego bezpieczeństwa poproszę pana Buddy'ego, żeby zakrył basen. Żałuję, że wcześniej tego nie zrobiłam, ale ostatnio miałam urwanie głowy... Po powrocie tatusia ty mu wszystko wyjaśnisz.

Sukie Wybuchnęła głośnym płaczem. W tej samej chwili zadzwonił telefon, który odebrała pani Michelson.

- Nikogo nie ma w domu, a ja jestem głucha i nic nie słyszę - krzyknęła ze złością i trzasnęła słuchawką.

To samo powtórzyło się jeszcze dwukrotnie. Za trzecim razem Laurie odebrała matce słuchawkę i powiedziała:

- Słucham? - Natychmiast twarz jej najpierw poczerwieniała, potem zzieleniała, na koniec poszarzała. - Czy tobie też mówiono grubiaństwa? - cicho spytała matkę.

Pani Michelson w milczeniu skinęła głową. Telefon znowu zadzwonił. Laurie podniosła słuchawkę, odłożyła ją na bok i nacisnęła widełki.

- Głowa mi pęka, więc idę na górę - szepnęła. - Przepraszam, ale nie przygotuję wam kolacji.



- O nas się nie martw, kochanie. - Pani Michelson też wstała. - Zaraz przyniosę ci herbatę i aspirynę.

Zbudził ją natarczywy dźwięk. Nie otwierając oczu, machnęła ręką i zrzuciła budzik oraz telefon na podłogę. Chciała przespać ból głowy i niesmak po wyzwiskach, jakie usłyszała przez telefon.

Zza okna dolatywał zapach kwiatów i owoców oraz świergot ptaków. Nagle rozległo się skrzypienie schodów i przyciszone głosy pod drzwiami.

- Czego ode mnie chcecie? - zawołała opryskliwym tonem.

Do pokoju weszła jej matka, córka i pies. Armanda wskoczyła na łóżko i polizała Laurie po twarzy.

- Przypuszczalam, że telefon cię obudził - rzekła pani Michelson - więc przyszedłam zapytać, czy zjesz śniadanie.

- Nie będę nic jeść, bo mi niedobrze. Ale chętnie wypiję herbatę i łyknę aspirynę.

- Kochanie, co cię boli? Masz temperaturę? - zaniepokoiła się matka.

Jej słowa wzruszyły Laurie, która poczuła się jak dziecko otoczone troskliwością. Zrobiło się jej ciepło w okolicy serca i przypomniała sobie czasy, gdy matka otaczała ją tkliwą miłością i na nic nie narzekała.

- Kto odłożył słuchawkę? - zapytała cicho.

- Ja - przyznała się zawstydzona Sukie. - Myślałam, że tyś zadzwoni.

Laurie otworzyła zaspane oczy, jęknęła i chwyciła się za głowę.

- Nie chcę żadnych telefonów. Tylko herbatę i aspirynę. W głowie mi huczy i ledwo widzę na oczy.

- Masz migrenę - orzekła matka. - Leż spokojnie.

Wstała w południe. Jeśli nie, kręciła głową, nie czuła żadnego bólu. Ostrożnie zeszła na dół. Uradowana Sukie podbiegła, rzuciła się jej w ramiona i... ją przewróciła.

- Uważaj, trzpiocie! Dzisiaj trzeba obchodzić się ze mną jak ze szkłem.

Pani Michelson pomogła córce wstać.

- Wstydź się, Sukie - skarciła wnuczkę. - Powinnaś zachowywać się cichutko. Nie krzycz, nie biegaj, nie trzaskaj drzwiami. Wtedy mamie szybciej przejdzie migrena.

Następnie zwróciła się do córki:

- Laurie wracaj do łóżka. Lepiej, żebyś dziś nigdzie nie wychodziła, bo przy bramie wciąż sterczą hieny. Nasz znajomy policjant pilnuje, żeby nikt nie wszedł, a jego ojciec obiecał, że przyjdzie ze strzelbą i śrutem. - Pani Michelson uśmiechnęła się zalotnie. - Kiedyś się do mnie zalecał...

- Naprawdę, babciu? Ten staruszek, który stale siedzi na ławce przed domem i bez przerwy mamrocze pod nosem?

- Jak ty się wyrażasz, smarkulo! Jeśli dożyjesz moich lat, będziesz zadowolona, że ktokolwiek jeszcze pamięta, jaka byłaś piękna i młoda. Idź z mamą na górę, a ja za chwilę przyniosę herbatę i rosół.

Laurie przespała resztę dnia i prawie całą noc. Rano poczuła się jak nowo narodzona. Przeciągnęła się leniwie i wsłuchiwała w świergot ptaków.

- O, tak to lubię. - Po namyśle mruknęła: - Chyba już jest niedziela, więc Harry powinien wrócić przed kolacją.

Przypomniała sobie dziennik telewizyjny, jęknęła głucho i szepnęła:

- Gdzie się przed nim schowam? Nie mogę spojrzeć mu w

oczy. Na pewno oni też oglądali dziennik i Ann Proctor zyskała dowód, że jestem „dzika”. Jeśli Harry jej uwierzył, zerwie naszą umowę. A mnie tak z nim dobrze... Wszystko dlatego, że się nie ubrałam, tylko zabrałam do pieczenia ciasta.

Usiadła, otrząsnęła się z resztek snu i mruknęła:

- Na zmartwienia zawsze czas. Wykąpię się, a potem zobaczę, jak świat wygląda.

Siedziała już chwilę w wannie, gdy rozległo się pukanie do drzwi i zajrzała Sukie. Armanda wskoczyła do środka, ujadając.

- Babcia usłyszała, że leci woda i przysłała mnie, żebym zapytała, czy mamusia zje śniadanie. - Baczenie przyjrzała się matce. - Już nie jesteś taka zielona, jak wczoraj.

- Dziękuję ci, rybko, pocieszyłaś mnie. Powiedz babci, że za pół godziny będę gotowa. I zabierz tego szczekacza.

Po kąpieli długo stała przed szafą niezdecydowana, w co się ubrać. Harry kupił jej kilka sukien i chciała włożyć tę, w której będzie najładniej wyglądała.

Wybrała zieloną z dekoltem w kształcie serca jako najodpowiedniejszą do udobruchania męża. Czuła się, jak przed bitwą, więc chciała być stosownie uzbrojona.

- Harry, najdroższy - mruzczała, ubierając, się i malując - ratowałam dziecko i nie wiedziałam, że ktoś robi zdjęcia. Nie powinni bez mojej zgody pokazywać mnie w telewizji. Okropnie się czuję, wierz mi.

Wiedziała, że niczego nie zdoła ukryć, więc postanowiła zachować się jak na byłą harcerkę przystało.

Po śniadaniu nieśmiało zapytała:

- Czy odważymy się iść do kościoła?

- Dobrze wiesz, że nigdy nie opuszczam nabożeństwa - odparła matka - więc ja pójdę. I zabiorę Sukie. Ale ty lepiej nie

pokazuj się ludziom i dziennikarzom na oczy. Szczególnie w takiej sukni.

Laurie rozpłakała się, więc matka przytuliła ją i pocałowała w czoło.

- Nie płacz, dziecko, to minie. Niech tylko przyjedzie Harry; on na pewno zrobi z tym tałatajstwem porządek.

Przytuliła córkę jeszcze mocniej.

- To dobry człowiek.... Chodź, Sukie, idziemy.

- Nie chcę. Zostanę w domu, bo tata może być na mamusię zły, a to wszystko moja wina.

- Tatuś wróci dopiero po południu — powiedziała Laurie.

- Możesz spokojnie iść z babcią, a potem pójdziemy do państwa Harringtonów.

- Chcę zostać w domu - upierała się dziewczynka. - Z tatą i tak nigdy nie chodziłam do kościoła,

- Więc najwyższa pora, żebyś zaczęła uczęszczać na nabożeństwa.

- No, dobrze - niechętnie zgodziła się Sukie. - Już idę, idę.

Laurie pozmywała naczynia, wstawiła mięso do piekarnika i nastawiła minutnik. Nucać ulubione melodie, przygotowała jarzyny i deser. Co parę minut jednak osaczały ją czarne myśli. Bała się męża, mimo że był czuły i w jego ramionach przeżywała cudowne chwile. Rozmarzona przymknęła oczy.

Do rzeczywistości przywołał ją minutnik. Zajrzała do piekarnika, ponownie nastawiła minutnik i poszła sprzątnąć sypialnię. Chciała zrobić wszystko, zanim matka i Sukie wrócą z kościoła.

Ojciec zaprojektował urządzenie sypialni w ulubionych kolorach córki - zieleń i kość słoniowa. Poduszki, misternie haftowane w kwiaty, były dziełem matki. Laurie nagle uświadomiła

sobie, że od śmierci ojca matka nic nie wyhaftowała. Postanowiła delikatnie nakłonić ją, żeby zrobiła coś dla wnuczki.

Zmieniła pościel, przykryła łóżko zieloną narzutą i odkurzyła toaletkę. Potem wyszła na balkon, aby popatrzeć na ogród. Widok sadu niezmiennie ją zachwycił. W powietrzu unosił się zapach dojrzałych jabłek i brzoskwiń.

Westchnęła i z ociąganiem wróciła do sypialni. Podlała chlorofitum, krytycznym spojrzeniem obrzuciła pokój i wyszła na korytarz.

Była w połowie schodów, gdy z hukiem otworzyły się drzwi frontowe i wbiegł Harry. Rzucił walizką tuż za progiem, a płaszcz nieco dalej. Miał kamienną, nieprzenikniętą twarz.

- Dlaczego nikt nie odpowiadał na moje telefony? - wołał ze złością, zamiast powitania.

Laurie stała z otwartymi ustami, nie mogąc wydobyć głosu. Odetchnęła głębiej i poczuła ból w piersi.

- Nawet nie powiesz, że się cieszysz, że wróciłem! - Rozejrzał się. - Gdzie Sukie i twoja matka? Leży jak biała?

Pod Laurie ugięły się kolana, więc usiadła na schodach.

Złośliwa uwaga o matce dotknęła ją do żywego. Nikt nie miał prawa tak mówić, nawet gdyby to była prawda.

- Zaraz będą - szepnęła. - Poszły do kościoła.

- Tym lepiej, bo musimy porozmawiać na osobności.

Popatrzył na nią nieprzyjaznym wzrokiem i pogardliwie wykrzywił usta.

Laurie siedziała chwilę jak sparaliżowana. Kiedy wstała, zakręciło się jej w głowie i niebezpiecznie się zachwiała.

Harry w ostatniej chwili zdążył ją złapać. Zaniósł ją do sypialni, położył na łóżku i stanął obok. Laurie wyglądała tak bezbrinnie, że z jego oczu powoli zniknęła pogarda i złość.

Zamknął drzwi na klucz i przyniósł z łazienki mokry ręcznik. Otarł żonie czoło i policzki.

Pół godziny później drzwi frontowe znowu otworzyły się z hukiem i do korytarza wpadła Sukie, wołając:

- Jesteśmy! Mamo, obiad gotowy? Zgłodniałam!
- Wrócił - powiedziała pani Michelson, podnosząc z podłogi płaszcz. - Już wrócił.
- Kto?
- Twój tatuś. Tytko on mógł tak nabałaganić.
- Mój tata nigdy nie bałagani. - Sukie stanęła w obronie ojca. - Raz mówił, że pan Depner jest strasznym bałaganiarzem i chciałby go dostać w swoje ręce.
- Jak ty się wyrażasz o panu Depnerze! To bardzo ważny człowiek. - Złapała wnuczkę za rękę. - Nie pójdziesz na górę. Zostaw rodziców w spokoju, bo muszą porozmawiać.
- Jak tata jest zły, to nie będą rozmawiać. Powiem mu, że to moja wina, a nie mamusi.
- Powiesz mu później. Chyba słyszysz, że nie krzyczą, więc tata nie zrobił awantury. Zostaw ich.
- Czy ja wiem... Babciu, to niepodobne do taty. On zawsze wrzeszczy, gdy jest zły.
- Może wcale nie jest zły? Może mama już mu wszystko wyjaśniła, pocałowała go i się pogodzili?
- Chyba babcia ma rację.

Zerknęła na schody, lecz posłusznie poszła do kuchni. Zaczęły nakrywać do stołu. Pani Michelson wyciągnęła śnieżnobiałe, haftowany obrus i srebrne sztucce. Po chwili Sukie nie wytrzymała, wybiegła na korytarz i chwilę nasłuchiwała.

- Nic nie słyszę - rzekła po powrocie. - Bardzo cicho rozmawiają.

O drugiej przestały czekać i zasiadły do obiadu, który zjadły bez apetytu. Pani Michelson poprawiła sobie humor lampką, wina. Po obiedzie pozmywała naczynia, a Sukie grzecznie je wytarła.

- Teraz idę odpocząć, a ty bądź grzeczna. O rodziców się nie martw.

Wzięła resztę wina i wychodząc, odłożyła słuchawkę na wi-dełki. Telefon natychmiast zaczął dzwonić.

- Nie odbieraj. Niech dzwoni, ile chce. Idź na dwór, tam nie będziesz słyszała.

Harry zirytował się upartym brzęczeniem i podniósł słucha-wkę, ale po kilku sekundach ją odłożył. Telefon dzwonił dalej. Znowu posłuchał, odłożył słuchawkę i spojrzał na żonę.

- To dlatego nie odzywałaś się, gdy dzwoniłem? - spytał, patrząc na nią z napięciem.

Laurie przytaknęła bez słowa, nie podnosząc oczu. Siedziała na brzegu łóżka, ze zwieszoną głową, wpatrzona w podłogę. Miała ogromny żal do męża, że nie pozwolił jej niczego wyjaś-nić. Przez cały czas robił jej złośliwe i gorzkie wyrzuty.

Zadumany pokręcił głową.

- Czy przynajmniej raczysz mi powiedzieć, dlaczego para-dowałaś prawie nago? Czy pozowałaś do zdjęć do „Playboya”?

Laurie długo nie odpowiadała. Wreszcie uniosła głowę i po-patrzyła na męża oczyma pełnymi łez.

- Mech to gęś kopnie! - zirytował się. - Nic z ciebie nie wyciągnę. Jadę do szpitala.

Sukie usłyszała kroki ojca, wybiegła z kuchni i od progu zawołała:

- To nie wina mamusi! Mamusia jest niewinna! Wszystko przeze mnie... - Urwała przestraszona. - Tato... nie... zbiłeś mamy, prawda?

- Nawet jej nie dotknąłem i nigdy nie tknę. A ty nie musisz brać na siebie winy za to, że mama popisywała się przed kamerami! -krzyknął i nie czekając na wyjaśnienia, trzasnął drzwiami. Odjechał na pełnym gazie.

Sukie pobiegła do sypialni.

.- Mamuś, tata naprawdę cię nie bił?

- Nie, skarbie. Tatuś nikogo nie bije. Ciebie też nie, prawda?

- Nie pamiętam, żeby mnie uderzył. Ale mama tłukła mnie za byle co.

Usiadła koło Laurie i przytuliła się.

- Próbowалам wytłumaczyć tacie, że to moja wina, ale nie chciał mnie słuchać. Wszystko przeze mnie!

- Nie dręcz się, kochanie. Jak mężczyzna wbije sobie coś do głowy, trzeba czasu i cierpliwości, żeby mu to wybić. Musi zastanowić się i pomyśleć, a to długi proces, - Laurie odgarnęła loki opadające Sukie na oczy. - Cicho, ptaszyno, cicho. Tata na pewno nas wysłucha i zrozumie. A teraz idź zapytać babcię, czy zrobi ci kolację. Mnie znowu rozboleła głowa, więc wezmę aspirynę i poleżę. Przyniesiesz mi herbatę?

Harry Mason przerwał pisanie, otworzył dolną, szufladę biurka i wyciągnął whisky. Jednym haustem wypił cały kieliszek. Akurat chował butelkę, gdy skrzypnęły drzwi, pokazała się szpakowata głowa i padło pytanie:

- Dlaczego jeszcze siedzisz, zamiast wracać do żony?

- Wejdz, przyjacielu, pogadamy.- Mason wskazał gościowi krzesło. - Napijesz się?

- Nie, wolę nie prowadzić samochodu po pijanemu. Wracam do domu, bo chcę porządnie się wyspać. I tobie radzę zrobić to samo, bo rano będziesz nie do zniesienia. - Wyjął zegarek. - O,



już jest rano! Dochodzi druga! - Rzucił koledze badawcze spojrzenie znad okularów i zapytał półgłosem: - Pijesz z rozpaczy, że doktor Proctor złożyła wymówienie?

- Kto wie... - mruknął Mason, wyraźnie speszony.

- Nie chcę się wtrącać, ale może raczej na skutek tego, co pokazali w piątkowym dzienniku? Kiedy twoja żona uratowała życie Seanowi Harringtonowi?

Mason popatrzył na niego zdumiony.

- Co zrobiła? Nie widziałem żadnej akcji ratunkowej.

- Pewnie widziałeś tylko jej wspaniałą figurę w bikini!

- Bikini! Chłopie, ona była w bieliźnie! Takiej, że wszystko prześwitywało.

- Nie unos się. Przecież widziałeś w telewizji gorsze rzeczy. Ratowanie chłopca jest ważniejsze niż to, czy coś prześwituje.

- Ale to moja żona. Nie chcę, żeby robiła z siebie widowisko. A reporterzy to zbereźniki. Nie pokazali żadnej akcji ratunkowej.

- Racja. Nie pokazali, jak Laurie płynęła z chłopcem, a tylko gdy wypompowywała mu wodę z płuc. - Oczy doktora Crindena wesoło błysnęły zza szkieł. - A widziałeś swoją córę? Stała koło karetki.

- Też nie widziałem. Musiałem bronić reputacji żony i odpiąć kaśliwe uwagi Ann. Ale ta jędrza ma język!

- Niektóre kobiety nie wiedzą, kiedy się w niego ugryźć. Wiesz, bardzo się cieszę, że Proctor odchodzi i znam lekarza, który chętnie zajmie jej miejsce.

Przez chwilę obaj panowie siedzieli pogrążeni w myślach.

Nagle doktor Crinden wstał i się przeciągnął.

- Oj, ale jestem zmordowany. Jeśli będzie spokój, przyjdę do pracy w południe. Dobrze?

- Dobrze. Dziękuję, że mi powiedziałeś, jak było. Chyba zostawię papiery i też pojedę do domu.

- Czas najwyższy. Dobranoc.

Mason jechał powoli, aby mieć trochę więcej czasu na przemyślenie tego, co usłyszał. I żeby alkohol zdążył wywietrzeć mu z głowy.

- Nic nie widziałem - mruczał pod nosem - bo musiałem odpierać oszczerstwa Ann. Nie wiedziałem, że to taka jadowita zmija. Powinna pamiętać, że nasz krótki romans skończył się definitywnie i to dawno temu. Poleciłem ją na stanowisko tutaj, bo jest dobrym lekarzem, ale... Teraz dowiedziałem się, jakim jest człowiekiem.

Wrócił myślami do żony. Nareszcie zrozumiał, że sam mocno zawinił, ponieważ nie dopuścił jej do słowa. Dotychczas Laurie zawsze potrafiła się odgrzyźć lub obronić. Widocznie tym razem nie mogła. Poczował, że znowu ogarnia go gniew. Usprawiedliwiał się przed sobą tym, że żona publicznie pokazała to, co powinno cieszyć jedynie jego oczy.

Po schodach szedł bez butów, na palcach. Cichutko otworzył drzwi, podszedł do łóżka i przyjrzał się śpiącej. Laurie kręciła się niespokojnie i coś pomrukiwała. Harry wziął prysznic i wycierając się, wrócił do sypialni. Rzucił ręcznik na podłogę i ostrożnie wśliznął się do łóżka.

Odsuwając kosmyk włosów z twarzy Laurie poczuł, że poduszka jest mokra od łez. Objął żonę, a ona przez sen ufnie przytuliła się do niego.

Najwyższym wysiłkiem woli opanował rosnące pożądanie i po pewnym czasie usnął. Obudziła go Sukie, która przyszła się ogrzać. Kazał jej obejść łóżko z drugiej strony, a sam czym prędzej wyskoczył i owinał się mokrym ręcznikiem.

- Brr! - syknął, czując, że mu wyskakuje gęsia skórka. - Idę się ogolić.

Laurie przebudziła się i rozglądając nieprzytomnie, zapytała:

- Skąd ten lód?

- Chciałam ogrzać sobie nogi - szepnęła Sukie.

- Dlaczego o mnie, a nie o psa? Kto jest w łazience?

- Tata.

Harry ogolił się i ubrał w rekordowym tempie, ale gdy wrócił, żona i córka już smacznie spały. Pocałował obie i wyszedł, zastanawiając się, czy wieczorem Laurie zechce z nim porozmawiać.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Pogoda zmieniała się, babie lato zniknęło. Nastąpiły deszczowe, ponure i zimne dni. Na szczęście dach już naprawiono i nikomu nie kapało na głowę. Mimo to wszyscy byli w kiepskim nastroju.

Laurie miała pełną świadomość, że Harry dba o rodzinę i zrobił dużo dobrego. Tym bardziej więc było jej przykro, że nie odzywa się do niej od czasu, gdy ogarnęła go wściekłość z powodu jej zdjęć, pokazanych w dzienniku telewizyjnym. Nie dopuścił jej do głosu, więc nie mogła niczego wyjaśnić. Miała ogromny żal o to, że zarzucił jej celowe pozowanie do zdjęć w negliżu, gdy tymczasem cała jej uwaga skupiona była na tonącym chłopcu.

W poniedziałek rano ubrała się w szerokie spodnie i luźny sweter. Zeszła do kuchni, usiadła przy stole i dłońmi ścisnęła skronie. Usiłowała znaleźć jakieś wyjście z nieprzyjemnej sytuacji, ale tylko coraz bardziej bolała ją głowa. Zacięła się i nie odzywała, ponieważ nie chciała dopuścić do tego, aby drugi mąż zachowywał się jak pierwszy. Harry też milczał obrażony. Intrygowało ją, dlaczego nie śpi osobno. Ani razu nie zbliżył się do niej, a mimo to nie zerwał umowy. Cierpliwie czekała, aż poprosi ją o wyjaśnienie tego, co zaszło. Nie chciała odezwać się pierwsza, gdyż czuła się do głębi obrażona tym, że wpadł do domu i od razu zaczął na nią krzyczeć.

Całe życie była przekonana, że nie rozumie mężczyzn, a obecnie jeszcze się w tym utwierdziła. Porównując obu mężów,

musiała uczciwie przyznać, że Harry jest daleko lepszym człowiekiem niż Ralph. Tak dobrym, że właściwie wyrządziła mu krzywdę porównaniem z pierwszym mężem.

Żałowała, że nie ma nikogo, z kim mogłaby szczerze porozmawiać i poprosić o radę. Ponadto dręczyły ją wyrzuty sumienia wobec matki i córki, którym ciążyła napięta atmosfera.

Użała się nad sobą, a jednocześnie miała świadomość, że wielu ludzi ma poważniejsze problemy. I wiedziała, że jako aktorka powinna umieć skrywać swe uczucia i dla innych mieć twarz pogodną.

Odrzuciła przygnębiające myśli i postanowiła się opanować. Zabrała się do szykowania śniadania i zdażyła ugotować owsiankę, zanim mąż i córka zeszli na dół.

- Dzień dobry, Laurie - cicho powiedział Harry.
- Dzień dobry, mamusiu! - radośnie zawołała Sukie.

Laurie mężowi skinęła głową, a córkę pocałowała w policzek. W milczeniu nalała kakao dla dziecka, kawą dla dorosłych i zaczęła nakładać owsiankę.

- Muszę to jeść? — zaczęła marudzić Sukie.
- Nie ma wyjścia - odparł ojciec. - W takie zimnisko dobrze mieć coś ciepłego w żołądku.

Miał przy tym taką minę, jakby sam nie wierzył w to, co mówi. Jadł prędko i każdą łyżkę owsianki popijał kawą. Gdyby nie wzgląd na dziecko, wyrzuciłby całą porcję do wiadra.

Ukradkiem zerknął na żonę. Laurie miała bladą twarz, oczy bez wyrazu i poruszała się niby automat. Poczł wyrzuty sumienia, lecz nadal był przekonany, że miał prawo się gniewać, ponieważ żona nie odpowiedziała na jego pytania i zarzuty. Po skończeniu śniadania poderwał się od stołu i prędkim krokiem wyszedł z kuchni.

- Chcę, żebyście wreszcie zaczęli rozmawiać - odezwała się Sukie. - Nie wiem, co jest gorsze: jak rodzice wrzeszczą, na siebie, czy jak nic nie mówią.

- Wiem, kotku, że ci przykro, ale nic na to nie poradzę. Dorośli też mają złe dni. - Zamyśliła się, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. Po chwili otrząsnęła się i powiedziała: - Możesz nie iść do szkoły, bo najpierw chciałabym porozmawiać z panią dyrektor. Zadzwoń, żeby cię usprawiedliwić i umówić się na spotkanie. Potem pojedę do szpitala, a ty pościelisz łóżko i posprzątasz w swoim pokoju. Później wyprowadź Armandę na krótki spacer, ale poza tym nie wolno ci wychodzić. Słyszysz, co mówię?

- Słyszę, słyszę. A mogę obejrzeć telewizję?

- Przed południem nie ma nic dla dzieci, więc możesz obejrzeć tylko jakąś kasetę. Tatuś kupił ci kilka i chyba jeszcze nie widziałaś wszystkich filmów. Ale najlepiej, żebyś zajęła się lekturą książki, którą musisz obowiązkowo przeczytać.

- Jak muszę, to poczytam - rzekła zrezygnowana dziewczynka, zjadła resztę owsianki i wstawiła talerz do zlewozmywaka.

Laurie przygotowała się do pracy. Włożyła zielony, tradycyjny, dwuczęściowy kostium i nie umalowała się ani nie upudrowała. Wszystko stało się nieważne wobec dręczącego pytania: Dlaczego obrażony mąż nie śpi osobno?

W programie zajęć była neuropatia cukrzycowa, czyli choroba, o której Laurie nigdy w życiu nie słyszała.

Zastanawiała się, czy i jak potrafi przekonać studentów, że cierpi na taką chorobę. Naprawdę cierpiała z powodu zdjęć w nieszczęsnym dzienniku. Robiło się jej wręcz niedobrze na myśl,

że studenci widzieli ją w bieliźnie. Miała ogromną ochotę wrócić do domu, ale na szczęście przypomniała sobie, że jest aktorką i się opanowała.

Weszła do sali, całym ciężarem wspierając się na lasce. Gdy ostrożnie stawiała prawą stopę, krzywiła się z bólu i postękiwała.

- Nie dojdę!-jęknęła zdesperowana.

Felder podbiegł, podprowadził ją i pomógł usiąść.

Trzymała prawą nogę sztywno wyciągniętą. Na pierwszy rzut oka było widać, że stopa i kolano są mocno opuchnięte.

Osiągnęła efekt dzięki temu, że obłożyła je kilkoma warstwami wosku. I posmarowała maścią o tak nieprzyjemnym zapachu, że przyszli lekarze starali się trzymać jak najdalej od pacjentki.

- Czy obserwowała pani rozwój choroby? - spytał jeden ze studentów.

- Nie mogłam, bo zaczęła się nagle.

- Ma pani inne schorzenia? Jakie leki pani stosuje?

- Biorę jakieś środki przeciwbólowe i lekarstwa na cukrzycę i nadciśnienie. Proszę, tu spisałam nazwy.

Studenci zmierzili jej ciśnienie i pobrali krew do analizy pod kątem cukrzycy. Długo obmacywali nogę, ale nie mogli wyczuć pulsu w stopie. Przez dwie godziny, podczas których pacjentka co chwila krzyczała z bólu, nie postawili żadnej diagnozy. Wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy zajęcia dobiegły końca.

- Zagrała pani doskonale - powiedziała instruktorka. - Jak pani osiągnęła taką opuchliznę?

Laurie zdradziła, co zrobiła.

- Pierwszorzędny podstęp. No, ale cukru we krwi pewnie nie wykryją.

- O co zakład, że wykryją? Łyknęłam, co trzeba i popiłam colą z syropem.

- Genialnie to pani wymyśliła i zabiła biedakom ćwieka nie lada.

Roześmiane wyszły z sali i w korytarzu spotkały siostrą Hart, która zwróciła się do Laurie z pytaniem:

- Słyszała pani, że doktor Proctor odeszła?
- Nie. Dlaczego zrezygnowała?
- Powiedziała, że otrzymała intratniejszą propozycję z Francji. Dobrze, że się przeniosła, bo tu nie pasowała.
- Bardzo się cieszę.

Po lunchu pojechała do szkoły Sukie i poszła prosto do gabinetu dyrektorki. Na jej powitanie wstała siwa starsza pani o miłym wyglądzie.

- Dzień dobry. Pani Mason, prawda?
- Tak, jestem macochą Suzanne.
- Miło mi panią poznać. Zechce pani usiąść. Suzanne wychwała panią pod niebiosa, a państwo Haningtonowie nie mają słów uznania dla pani odwagi i poświęcenia.

Laurie chciała coś powiedzieć, lecz nawet nie zdążyła otworzyć ust, ponieważ pani Whitmore mówiła dalej.

- Rozmawiałam też z pani mężem. Od niego dowiedziałam się o przezwiskach, które stały się przyczyną bójki. Przedtem nic mi o tym nie mówiono. Poza tym dowiedziałam się, jak wychowawczyni wykorzystała informację o pani indiańskim pochodzeniu.
- Dyrektorka cały czas patrzyła Laurie prosto w oczy. - Muszę panią bardzo przeprosić za to, że osobiście nie sprawdziłam, jak było. Pani Wilson już otrzymała naganę i została zawieszona w obowiązkach, do czasu gdy rada zadecyduje, czy ją zwolnić. Pracuje u nas od kilku lat i jest w ciężkiej sytuacji materialnej, ale nie chcemy tolerować jej karygodnego stosunku do uczniów.



Laurie nastawiła się, że w ostrych słowach powie dyrektorce, co myśli o szkole i o wychowawczyni, a tymczasem pani Whitmore wytrąciła jej broń z ręki. Okazało się, że Harry wcześniej załatwił sprawę.

Pozostał więc już tylko jeden problem do rozwiązania, a mianowicie ich wzajemne stosunki. Jednak Laurie nadal była nieprzejednana i wiedziała, że nie odezwie się do męża, zanim on jej nie przeprosi i nie wysłucha wyjaśnień. Po rozwodzie przysięgła sobie, że już nigdy żaden mężczyzna w jej życiu nie postawi na swoim, gdy nie będzie miał racji. Teraz chciała dotrzeć do danego sobie słowa.

Minał tydzień, podczas którego małżonkowie nadal traktowali się jak powietrze. Harry wyjeżdżał do szpitala zaraz po śniadaniu, a wracał tuż przed kolacją. Rozmawiał tylko z córką, której niekiedy pomagał przy odrabianiu pracy domowej. Po kolacji, jeśli nie wzywano go do szpitala, zamykał się w swym gabinecie. Na noc uparcie przychodził do sypialni żony, ale spał odwrócony plecami.

Sukie miała nową, młodszą wychowawczynię i od razu poczuła się w klasie znacznie lepiej. Zaczęła wracać ze szkoły z koleżankami. Dziewczynki bawiły się i pomagały Laurie w kuchni. Ich obecność i radosny szczebiot dobrze wpływały na jej nastrój. Dlatego też uległa prośbie córki i zaprosiła je na piątek i sobotę.

Pani Michelson powoli znowu zaczynała cieszyć się życiem. Głównie dzięki temu, że zięć regularnie wypłacał jej pewną sumę. Ograniczyła picie do jednej lampki wina podczas kolacji i zaczęła regularnie chodzić do klubu.

Wyglądała kwitnąco, zapraszała znajomych do siebie i by-

wała u nich. Najbardziej zaś była zachwycona tym, że Emmett Royce, dawny wielbiciel, a obecnie wdowiec, stale dotrzymywał jej towarzystwa.

Wszyscy zdawali się być radośniejsi i szczęśliwsi. Tylko Laurie nie umiała znaleźć się w sytuacji, jaka się wytworzyła. Praca w szpitalu nie była zbyt absorbująca, więc zostawało jej dość dużo czasu na niewesołe rozmyślania.

Pewnego popołudnia spokojnie czytała książkę, gdy Sukie wróciła ze szkoły pełna emocji. Jak zwykle głośno trzasnęła drzwiami.

- Mamo, wróciłam!

- Słyszę - zawołała Laurie. - Jak było w szkole?

Sukie w podskokach wbiegła do pokoju.

- Wiesz, licealiści wystawiają sztukę o tych, co przywędrowali tu przez góry z Wirginii, Karoliny... i jeszcze skądś, ale wyleciało mi z głowy. Pójdziemy? Prosił mnie, żebym sprzedawała bilety.

Wyjęła z tornistra kopertę, którą rzuciła matce na kolana.'

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie. Czy pani oddała prace domowe?

- Tak. Pani uśmiechnęła się do mnie, pochwaliła i powiedziała, że mam dalej tak pracować. No, mamo, otwórz list.

- Dziecko aż drżało z emocji. - Pójdziemy na tę sztukę? Będą grać w piątek wieczorem. W sobotę nie ma lekcji, więc mogę iść później spać.

Stała przy matce, podskakując to na jednej, to na drugiej nodze. Laurie otworzyła kopertę i przeczytała, co następuje:

„Zawiadamiamy, że nasza sztuka zostanie wystawiona za trzy tygodnie, w piątek i sobotę. Po spektaklu będą ciastka i poncz. Czy możemy liczyć na pani pomoc?”

Oglądając bilety, powiedziała:

- Myślę, że to będzie dobra zabawa, ale musimy zapytać tatusia o zdanie. Kupię bilety dla nas wszystkich i mam nadzieję, że tatuś znajdzie czas, żeby z nami pójść.

Babcia na pewno chętnie się wybierze i może namówi pana Royce'a. Wiesz, widziałam przedstawienie na podobny temat, gdy sama byłam uczennicą.

- Naprawdę? Powiedzieli mi, że jeśli sprzedam pięćdziesiąt biletów, wpuszczą mnie za darmo.

- Pięćdziesiąt biletów? Hmm... Mam myśl! Zabiorę cię do szpitala, bo tam ewentualnie znajdzie się najwięcej chętnych. Zobaczymy, czy nadajesz się na sprzedawczynię... Zjedz coś, a ja tymczasem się przebiorę.

W szpitalu skierowały się prosto do gabinetu dyrektora.

- O, dzień dobry, pani Mason. Dzień dobry, Sukie - powitała je sekretarka. - Pani mąż powinien zaraz wrócić. Rozumiem, że panie do niego?

Sukie wyjęła bilety.

- Przyjechałam sprzedawać bilety na sztukę o pierwszych osadnikach, którzy przybyli tu zza gór. Może i pani kupi? Przedstawienie będzie w piątek i sobotę za trzy tygodnie, w liceum. Bilety dla dorosłych są po pięć dolarów, dla dzieci i uczniów po dwa i pół.

- Z przyjemnością pójdę. Jako uczennica występowałam w podobnej sztuce. - Spojrzała pytająco na Laurie. - Zaczeka pani tu czy w kawiarni? Tam łatwiej można sprzedać bilety... Akurat jest przerwa, więc będzie sporo osób.

- Dobry pomysł. Dziękujemy i na razie do widzenia.

Laurie kupiła herbatę i usiadła przy stoliku pod oknem. Sukie

zaś bez skrepowania podchodziła do obecnych, z przejęciem zachwalała sztukę i proponowała bilety. Radziła sobie doskonale. Do Laurie przysiadł się Felder i zaczął omawiać ostatnie diagnozy studentów. Uprzejmie kiwała głową, jak gdyby wszystko rozumiała, ale medyczny wywód ją nudził.

Nagle Felder zaczerwienił się i poderwał.

- O, jest pani mąż, więc pożegnam państwa.

Laurie odwróciła głowę i napotkała pogardliwy wzrok Harry'ego. Serce przestało jej bić, lecz prędko opanowała się i jej twarz przybrała obojętny wyraz.

- Mary Beth powiedziała, że przyszyście sprzedawać jakieś bilety - rzekł Harry, siadając przy stoliku.

- Tatuś! - krzyknęła Sukie, podbiegła i objęła go za szyję.

- Sprzedałam już dziesięć biletów. Ile ty kupisz?

- Puszczaj! Chcesz mnie udusić? - Ojciec wziął ją na kolana. - Co to za bilety i dlaczego je masz?

- Bo jak sprzedam pięćdziesiąt, wejdę za darmo.

- Ale na co? Czy to coś warte? Może szkoda czasu... - zażartował ojciec.

- Na pewno nie szkoda! Tatku, musisz kupić cztery bilety. Babcia mamusia i ja chcemy iść, nawet jeśli ty nie możesz. Babcia mówiła, że namówi pana Royce'a. Tatusiu, proszą... masz bilety.

- Widzę, że to sztuka o awanturkach, którzy przedarli się przez góry i zajęli ziemie Czirokezów. Hmm, może być ciekawa. Dowiemy się, jak ci ludzie znajdowali drogę w górach. - Spojrzał na żonę. - Masz ochotę pójść? - Laurie skinęła głową, więc zwrócił się do córki: - Ile chcesz ze mnie zedrzeć?

- Tato, nie żartuj. - Sukie zaczęła liczyć na palcach. - Za trzy bilety dla dorosłych wyszło piętnaście. - Dodała jeszcze dwa palce. - Siedemnaście pięćdziesiąt.

Ojciec wyciągnął portfel.

- Mam tylko dwadzieścia dolarów. - Ujął banknot w dwa pałce. - Czy oddasz coś, jeśli sprzedasz pięćdziesiąt biletów?

- Tato, bądź poważny!

- Jestem. Możesz mi wydać resztę?

- Chyba tak. - Sukie wyjęła kartkę, zmarszczyła czoło i zaczęła odejmować siedemnaście i pół od dwudziestu. Pomagała sobie palcami. - Wyszło dwa i pół dolara.

Odliczyła pieniądze i podała ojcu.

- Moja córka ma przyszłość przed sobą. - Mason schował pieniądze. - Będziesz niezłą ekspedientką... Wicie co, mam propozycję nie do odrzucenia. Zapraszam was wieczorem na kolację do nowej włoskiej restauracji. Wszyscy bardzo ją chwala.

- Sukie, lubisz spaghetti? - spytała Laurie.

- Wolę hamburgera. Mogę dostać?

- Dobrze, jeśli się nie rozmyślisz, dostaniesz hamburgera.

- No, to w porządku. Musimy tylko zapytać babcię, czy z nami pojedzie i uprzedzić Delię, żeby na dziś nic nie przygotowywała. Laurie, odpowiada ci mój projekt?

- Bardzo - odparła, chociaż nie lubiła niespodzianek.

Wracała do domu sama, ponieważ Sukie wolała zostać z ojcem w szpitalu. Dzięki temu mogła w spokoju zastanowić się nad stanem swoich uczuć. Doszła do wniosku, że zakochała się w mężu i dlatego tak jej brakowało czułości i zbliżeń. Ciekawa była, kiedy znów spędzą upojny wieczór i będzie mogła spokojnie zasnąć i śnić o rozkoszach, zamiast płakać w poduszkę.

Sukie weszła do gabinetu ojca i od razu spytała o to, co jej leżało na sercu:

- Tato, dlaczego gniewasz się na mamusię i wcale nie roz-

mawiacie? - Nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej: - To nie mamy wina, że Neil i Sean wpadli do basenu. Chciałam, żeby Neil przestał wyzywać mnie od tchórzy, więc przyniosłam klucz i otworzyłam furtkę. Mama mi zabroniła tam chodzić pod nieobecność dorosłych, ale.

Rozpłakała się, więc ojciec wziął ją na kolana.

- Z tamtą mamą stałe krzyczeliście na siebie - ciągnęła, szlochając. - Co zrobiłeś, że ta mama nic nie mówi?

- Dorosli różnie reagują na nieporozumienia. Widzisz, uwieżyłem w plotki. Gdy w telewizji zobaczyłem mamą w bieliźnie, krew mnie zalała i już nic więcej nie widziałem. Kiedy wróciłem, wpadłem do domu z wrzaskiem i zakrzyczałem mamę.

- To źle, tatusiu.

- Przyznaję, ale wtedy nie panowałem nad sobą. A teraz nie wiem, dlaczego mama nie chce mi przebaczyć.

- Mnie przebaczyła, gdy przyznałam się do winy. Państwo Harringtonowie też przyjęli moje przeprosiny. Neil, Sean i ja obiecaliśmy, że się poprawimy... Tato, czy... przeprosiłeś mamusię, że na nią krzyczałeś?

Mason przecząco pokręcił głową.

- Chodź - szepnęła - jedziemy do domu po mamę i babcię.

Podczas kolacji w restauracji rozmowa się nie kleiła. Jedyne Sukie czuła się swobodnie, z apetytem jadła i z werwą opowiadała o szkole. Po skończonym posiłku udało się jej sprzedać dwa bilety. Chętnym nabywcom powiedziała nie tylko o samej sztuce, ale i o tym, że przodkowie Laurie byli Czirokezami, zamieszkującymi te ziemie i że pani Michelson pochodzi z Atlanty w Georgii.

- Jeżeli zaczyna interesować cię historia - powiedziała Laurie, gdy Sukie wróciła do stolika - to pojedziemy kiedyś do Jonesboro, najstarszego miasta w Tennessee.

- Bardzo chętnie się tam wybiorę - rzekł Harry. - Niedawno jeden z kolegów opowiadał o, wycieczce, którą warto zrobić jesienią. W tym roku już za późno, ale może wybierzemy się W przyszłym? Kilku kolegów chce iść śladem pierwszych osadników. Można wyruszyć na przykład z Linville i albo iść pieszo, albo jechać samochodem, bo jest tam niezła droga.

- Lepiej byłoby pieszo.

- Nie wiadomo, czy Sukie da radę.. Zobaczymy. Ostatecznie można część trasy przebyć samochodem, a resztę pieszo.. Podobno najpiękniejsze widoki są wiosną i jesienią. Możemy wybrać się na wiosnę. Mówiono mi, że całe zbocza są pokryte azaliami i rododendronami. Wyobrażacie sobie, jaki to musi być widok?

Sukie z zachwyty klasnęła w dłonie.

- Bomba! Mamo, czy mogę zaprosić Neila i Seana na piknik w górach? Tatusiu, na pewno pojedziemy?

- Nic nie można planować na pewno. - Matka ostudziła jej zapał. - Zresztą, zanim wybierzemy się na taką daleką wyprawę, warto zobaczyć to i owo bliżej. Babcia nam doradzi, gdzie najlepiej jechać. Może nawet z nami pojedzie. Kiedy byłam w twoim wieku, dużo ze mną jeździła. To tak dawno temu, że niewiele z tych wycieczek pamiętam. Proponuję, żebyśmy obejrzeliby mapy i zaplanowali coś na następną sobotę. Co wy na to?

Harry ze zdziwienia uniósł brwi.

- Czyżbyś zapomniała, że Sukie zaprosiła koleżanki? Chcesz zabrać całe towarzystwo? Ja nie mam nic przeciwko, ale czy ich rodzice się zgodzą? Wyjątkowo mam wolną sobotę.

- Czyli idealnie się składa. Już zaczynają mi się przypominać różne miejsca. Na przykład chata, którą zbudowano pod

koniec osiemnastego wieku i w której wszystko jest autentyczne. Zaraz po powrocie wytyczę trasę.

W piątek Sukie wróciła ze szkoły z Poliną i Lou Ellen. Dziewczynki zgodziły się odrobić lekcje, dopiero gdy im obiecano, że pomogą przy pieczeniu ciasta. Delia zapowiedziała, że na kolację przygotuje zapiekankę z zębacza, ryżu i fasoli. Lou Ellen i Polina przyklasnęły zachwycone, natomiast Sukie skrzywiła się ze wstrętem.

- Ja tego nie wezmę do ust - mruknęła.
- To bardzo smaczna potrawa - powiedziała Laurie.
- Nie wierzę. Zębacz już z nazwy jest okropny, a na zdjęciu wygląda ohydnie.
- Lubisz ryby i frytki, prawda?
- Tak.
- Właśnie dlatego często je robię. Zawsze z zębacza. Tyle razy go jadłaś i ci smakował.

Na twarzy Sukie malowało się obrzydzenie.

- Naprawdę? Dlaczego mi nie powiedziałaś, że kupujesz taką paskudną rybę?

- W tych stronach zębacz uchodzi za przysmak. Jeżeli chcesz mieć koleżanki, musisz nauczyć się jeść to, co ich mamy gotują. Musisz polubić potrawy, jakie się tutaj jada. Chyba nie chcesz, żeby uważano, że zadzierasz nosa?

Sukie zadarła nos, co skwitowano gromkim śmiechem.

- Nie będę jadła wszystkiego. Kabaczków nie wezmą do ust, choćby nie wiem kto mówił o mnie nie wiem co.

- Muszę się przyznać - rzekła rozbawiona Laurie - że ja też za nimi nie przepadam.



O wpół do dwunastej Harry zszedł do bawialni, aby uciszyć rozbawione dzieci i przypomnieć, że czas spać. Dziewczynki leżały pokodem na podłodze i opowiadały sobie mrozące krew w żyłach historie o duchach i wiedźmach.

- Musicie być wyspane, bo chcemy wyruszyć skoro świt i cały dzień poświęcić zwiedzaniu.

- Już śpimy, proszę pana.

- Ja nawet chrapię - zawołała Sukie.

- I gadasz przez sen? Dobrze, gaszę światło. Czy żadna nie chce iść do łazienki? Na wszelki wypadek zostawię zapaloną lampkę przy schodach, żebyście nie błądziły.

- Dziękujemy, tato. Trafimy.

- Dobranoc.

Po kwadransie wszedł i popatrzył na śpiące dziewczynki.

- Ciekawe, czy Laurie i ja doczekamy się dziecka - mruknął zadumany. - Bardzo chciałbym, ale czy mamy szanse?

Laurie obudziło uporczywe brzęczenie. Zdziwiła się, że o tej porze roku w domu znalazła się osa. Otworzyła jedno oko i się rozejrzała. Osy ani śladu, za to w uchylonych drzwiach zobaczyła trzy główki.

- Czemu tak wcześnie wstałyście? - spytała szeptem, aby nie obudzić męża. - Wracajcie na dół. Zaraz zejde.

Ziewnęła, przytuliła się do poduszki i przymknęła oczy.

Była zła na dzieci, że tak wcześnie się obudziły, ale po kilku minutach wstała.

- Najpierw muszę napić się kawy - mruzczała, ospale chodząc po kuchni. Dziewczynki gadały jak najęte, więc powiedziała głośniej: - Idźcie stąd i zostawcie mnie w spokoju. Jak napiję się kawy, przygotuję śniadanie.

- Zjadłabym wafle z masłem i miodem - podpowiedziała Sukie.

- Dobrze, ale idźcie już, idźcie!

Opadła na krzesło i wzięła kubek w obie dłonie, aby czuć ciepło kawy. Dopiero po wypiciu drugiej filiżanki rozbudziła się na tyle, że mogła zabrać się do pracy. Nie była wytrawną kucharką, ale potrafiła przygotować wafle wyciągnięte z zamrażalnika.

- Sukie, śniadanie gotowe! - zawołała po pewnym czasie.

- Możecie zabrać sobie do pokoju. Za chwilę przyniosę czekoladę.

Dziewczynki zabrały tace z talerzami i kubkami, a Laurie zaniósła resztę. Niebawem przyszedł Harry, ogolony i ubrany po sportowemu. Spojrzała na niego spod rzęs i poczuła przyspieszone bicie serca.

- Dzień dobry, Laurie.

- Dzień dobry. Co zjesz na śniadanie?

- Widzę, że dziewczynki pałaszują wafle, aż uszy im się trzęsą. Ja też chętnie zjadłbym coś takiego. Ale przedtem solidną porcję jajecznicy z kiełbasą. Nie za dużo wymagam?

- Może sprostam zamówieniu... Napijesz się soku?

- Nie, nie mam ochoty. Wolę kawę. - Zwrócił się do dzieci:  
— Zaraz po śniadaniu ruszamy. Uprzedzam, że przed wyjazdem sprawdzę, czy macie czyste ręce i zęby.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Pojechali nowym samochodem, na który Harry namówił Laurie, twierdząc, że chodzi mu głównie o bezpieczeństwo córki.

Nie przyznał się, że na stary wóz po prostu nie mógł patrzeć.

Chata, którą chcieli obejrzeć, nie była daleko, lecz wiodące do niej drogi - polne lub wybrukowane kocimi łbami - były wąskie i kręte. Za to biegły w malowniczej okolicy, więc widoki były piękne. Świat jeszcze mienił się ostatnimi barwami jesieni. Farmy leżały rozrzucone z dała od siebie i wszędzie królował spokój.

Po godzinie zajechali na miejsce i zaparkowali przed historycznym obiektem. Drzwi chaty otworzyły się, zanim zdążyli zapukać. Staneła w nich zażywna starsza pani.

~ Witam państwa. Nazywam się Helen Holmsby. Czy państwo zamawiali nocleg?

- Dzień dobry - powiedzieli chórem.

- Pozwoli pani, że się przedstawimy. Jestem Harry Mason, to moja żona i córka. A to koleżanki córki. - Położył ręce na głowach Poimy i Lou Ellen. - Nie będziemy nocować, bo przyjechaliśmy tylko na krótką wycieczkę.

- Aha. Proszę do środka, oprowadzę państwa po domu i покаżę, gdzie można umyć ręce. Skąd państwo przyjechali? Z Karoliny czy Georgii?

- Z Karoliny.

Dziewczynki chętnie umyły ręce. Bardzo podobało im się, że trzeba było nalać wody do miski, umyć się mydłem zrobionym domowym sposobem i wytrzeć ręce w ręcznik ze starego worka. A na zakończenie wylać wodę do wiadra.

Sypialnie były bardzo małe, ale w łóżkach leżały puchowe materace i kołdry.

- Jaka piękna kołdra! - zachwyciła się Polina.

- To łóżko jest rozkładane? - Sukie pytająco spojrzała na przewodniczkę. - Po co tu stoi ten garnek z jednym uchem?

- To nie garnek, lecz nocnik. Me mamy łazienki, tylko wygodkę za domem. Zimą w nocy nikomu nie chce się wychodzić, a zresztą dawniej w sypialni zawsze były nocniki.

- To dopiero! Nie wiedziałam - zdziwiła się Lou Ellen.

- Wody bieżącej też nie ma. Musimy przynosić ze źródła.

Pani Holmsby pokazała gościom pokój, w którym przez pewien czas mieszkał gubernator Blount, a potem wąskimi, stromymi schodami sprowadziła ich na dół. Przez jadalnię wyszli na zewnątrz i przeszli do kuchni, która znajdowała się osobno. Takie rozwiązanie miało zabezpieczać dom w razie pożaru.

W kuchni od razu rzucało się w oczy olbrzymie palenisko. Nad nim wisały duże sagany, w których coś się gotowało. W piecu piekł się chleb, a na rożnie całe prosię. Na środku kuchni stał długi stół i proste zydle. Z pułapu zwisały zioła, cebula, czosnek. Kuchnia była przesiąknięta bukietem woni. Zapachy były tak smakowite, że goście poczuli się głodni.

- Ale aromaty - rzekła Laurie, przymykając oczy i pociągając nosem.

Pani Holmsby dała im po filiżance zupy, która dziwnie pachniała, oraz po kromce domowego chleba z dżemem jeżynowym.

Polina pierwsza odważyła się spróbować zupy.

- Bardzo dobra, ale... to nie rosół, jaki mama gotuje.

Harry roześmiał się i pokręcił głową.

- Nie wybrzydzać. Na pewno w szkole będziecie się przechwalać, że jadłyście zupę pierwszych osadników.

Następnie pani Holmsby zaprowadziła gości do chaty tkacza.

W dużej izbie wszędzie leżała owcza wełna, przygotowana do uprzedzenia na kołowrotku. Pod ścianami były kadzie, w których wełnę farbowano, a pod sufitem belki, na których ją suszono w deszczowe dni. Zazwyczaj jednak farbowanie i suszenie odbywało się na zewnątrz. Do tkania płótna służyły dwa krosna: jedno duże, drugie małe.

Dziewczynki oglądały wszystko z ustami otwartymi z podziwu. Zaskoczyło je piękno i bogactwo naturalnych kolorów.

Koło chaty zobaczyły maciorę z prosiętami, a nieco dalej stado owiec. Wpadły w zachwyt.

- Mamo! Tato! Patrzenie! - krzyknęła Sukie.

-- Ale śliczne owieczki! - zachwyciły się jej koleżanki.

Po pewnym czasie Harry zauważył, że dzieci mają dość wrażeń, więc zarządził powrót do domu. Podziękowali pani Holmsby za oprowadzanie i się pożegnali. Przed odejściem wrzucili pieniądze do skarbonki przy drzwiach. Po krótkim spacerze poszli do muzeum, lecz zwiedzanie nie trwało długo, ponieważ eksponaty nie wzbudziły zbytniego zainteresowania.

W drodze powrotnej dziewczynki najpierw śpiewały, a potem prześcigały się w opowiadaniu dowcipów i zagadek.

- Kto wie, dlaczego kaczka idzie przez boisko? - zapytała Polina.

- Bo ma w szkole lekcję pływania - powiedziała Sukie.

- Bo dba o dobre krążenie - rzekł Harry.

- Bo chce zagrać w piłkę nożną - dorzuciła Laurie.

- Nikt nie zgadł - ucieszyła się Polina. - A to takie proste. - Zaczęła chichotać.' - Kaczka ma gniazdo po drugiej stronie boiska.

Około drugiej zatrzymali się, aby zjeść lunch w przydrożnym barze, po czym ruszyli w drogę powrotną.

Po posiłku dziewczynki jeszcze trochę dokazywały, ale wkrótce zapadła podejrzana cisza. Zaintrygowana Laurie odwróciła się, uśmiechnęła i pokiwała głową. Sukie i jej koleżanki zasnęły. Reszta drogi odbyła się w milczeniu, ponieważ i Laurie, i Harry byli pogrążeni w myślach. Oboje przekonywali siebie, że racja jest po ich stronie, a jednocześnie zastanawiali się, jak przełamać lody, nie tracąc nic z godności własnej.

Najpierw odwieźli Polinę i Lou Ellen, Harry zaniósł rozespiane dziewczynki, a Laurie ich plecaki.

- Bawiły się aż za dobrze, szczególnie wczoraj do północy i dlatego posnęły - powiedziała ich rodzicom gwoli wyjaśnienia.

Kiedy zajechali do domu, Harry zaniósł Sukie do łóżka. Laurie w tym czasie wypakowała rzeczy z samochodu, przygotowała czekoladę i przysłała na górę.

- Dostanę buzi? - spytała rozespiana Suki.

- Oczywiście, kochanie. Spij dobrze.

Wychodząc z pokoju, Laurie szepnęła:

- Szkoda, że całe życie nie jesteśmy niewinnymi dziećmi.

Harry odwrócił ją ku sobie i bez słowa przytulił.

Laurie objęła go w pół i przywarła do niego całym ciałem. Wsłuchiwała się w jego przyspieszony oddech i bicie serca. Ogarnęło ją uczucie całkowitego bezpieczeństwa.

Nagle przeszła ją myśl, że pokochała Harry'ego na całe życie. Zaskoczona usiłowała się odsunąć.

Harry chciał przytulić ją jeszcze mocniej, ale dostrzegł przerażenie w jej oczach, więc rozłożył ręce i się cofnął. Pomyślał

wystraszony, że albo pierwszy mąż, albo on sam zranił ją głęboko i dlatego się boi. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz rozmyślił się i bez słowa wyszedł. Usiadł w gabinecie przy biurku i oparł głowę na złożonych rękach.

Po raz setny zastanawiał się, jak doszło do nieporozumienia. Nie mógł dłużej się oszukiwać i zrozumiał, że wszystko popsuł on sam, ponieważ uwierzył Ann Proctor. Wytarł mokre czoło i nos. Zdał sobie sprawę, że postąpił jak głupiec i że w ogóle nie zna kobiet. Dopiero teraz uświadomił sobie, że Laurie jest najlepszą kobietą, jaką spotkał. Najlepszą dla niego i dla Sukie. Wiedziała że popsuł wszystko swą zazdrością, a na domiar złego jest zbyt uparty, by się do tego przyznać. Sprawy zaszyły tak daleko i być może są nieodwracalne. Co zrobić, żeby wszystko naprawić i uzyskać przebaczenie?

Laurie rzuciła się na łóżko i rozpłakała gorzkimi łzami. Rozpaczła, że przeraziła się, gdy Harry ją mocniej objął. Przez ułamek sekundy myślała, że to Ralph i dlatego ogarnął ją strach. A tak jej było dobrze. Nie mogła sobie darować, że bezpowrotnie wszystko zepsuła. Ironia losu była tym większa, że właśnie wtedy uświadomiła sobie, iż pokochała męża całym sercem.

Za późno zorientowała się, że Harry wcale nie chce jej niczego narzucić. Nigdy wobec niej nie postępował brutalnie.

Tym bardziej więc nie rozumiała swej nerwowej reakcji. I nie pojmowała, dlaczego śpią razem, a nigdy nawet się nie pocałują. Niemożliwe, aby taka sytuacja trwała wiecznie.

Należało znaleźć jakieś rozwiązanie. Któryś z nich powinno się przełamać i zacząć decydującą rozmowę.

Trzeba dowiedzieć się, czy Harry kocha Ann Proctor i czy dlatego uwierzył w oszczerstwa.

Wytarła oczy i nos, opanowała łkanie, po czym usiadła i zapatrzyła się przed siebie. Było jej niewymownie przykro, że Harry ożenił się z nią, mimo iż uważał ją za kobietę pustą i bez skrupułów. Możliwe, że miał o aktorkach taką opinię jak większość ludzi. Nie potrafiła znaleźć ani wytłumaczenia, ani rozwiązania, ale uznała, że niezależnie od wszystkiego, oboje muszą mieć wzgląd na dziecko i nie dać Sukię odczuć, że ich wzajemne stosunki nie układają się najlepiej.

Otarła resztę łez i wstała z mocnym postanowieniem, że przestanie rozczulać się nad sobą. Należało pomyśleć o obowiązkach i przygotować kolację. Życie ma swoje prawa, niezależnie od naszych kłopotów i zmartwień. I liczymy się nie tylko my. W tej chwili pomyślała o matce i dopiero teraz uderzyło ją, że matka nie wyszła im na spotkanie, że w ogóle się nie pokazała. Widocznie poszła z wizytą do swego adoratora. Skrzywiła się niezbyt tym zachwycona, ale musiała przyznać, że matka też ma prawo do szczęścia.

Przypomniała sobie okres ciężkiej choroby ojca, który najpierw krótko leżał w szpitalu, a potem długo w domu. Matka z poświęceniem go pielęgnowała. Delia i pielęgniarka trochę jej w tym pomagały, lecz córka prawie wcale. Laurie ze wstydem pomyślała, że po śmierci ojca też jej nie wspierała, gdyż akurat wtedy wniosła sprawę o rozwód i likwidowała mieszkanie w Bostonie. W tym tragicznym okresie życia miała zbyt wiele własnych kłopotów, aby zajmować się matką. Poniekąd więc i ona ponosiła winę za to, że matka zaczęła pić.

Zeszła do kuchni i wyjęła z lodówki to, co przygotowała Delia - steki, ziemniaki, sałatkę jarzynową oraz placek z dyni. Włączyła piekarnik i wstawiła mięso.

Zaniepokoiła ją głęboka cisza w domu, więc zaczęła nasłu-



chiwać. Nic, żadnych odgłosów. Ogarnął ją dziwny niepokój, więc postanowiła iść zapytać męża, czy jest głodny. Zapukała. Harry nie odezwał się, ale światło widoczne przez szparę świadczyło, że jest w pokoju.

- Wejdz - usłyszała wreszcie.

Harry niechętnie podniósł głowę. Zaskoczyło go, że Laurie wyjątkowo pięknie wygląda. Zastanawiał się, czy jej mocno rozszerzone oczy wyrażają miłość czy... nienawiść.

Natomiast Laurie intrygowało, co mąż robił przez cały czas. Na pewno nie pracował, ponieważ biurko było puste.

- Zjesz kolację? - spytała cicho. - Wystarczy odgrzać, bo Delia wszystko przygotowała.

- Na razie nie jestem głodny, ale później... Pomóc ci?

- Możesz nakryć do stołu i przygotować coś do picia.

W kuchni Harry zapytał:

- Gdzie jest mama? Nie przyjdzie na kolację?

- Nie ma jej w domu. Widocznie wyszła do znajomych, pewnie do pana Emmetta.

Podczas kolacji wspominali wycieczkę i nagle Harry powiedział przyciszonym głosem:

- Laurie, chciałbym ci podziękować za to, co zrobiłaś dla mojej córki. Nigdy nie widziałem jej tak radosnej i spokojnej. Obie z matką macie dobry wpływ na nią i idealny kontakt. Dzięki wam przestała być skłócona z całym światem.

- Poczekajmy, aż zacznie dojrzewać, wtedy zobaczymy, na ile się zmieniła. To z gruntu dobre dziecko i łatwo je prowadzić.  
- Drgnęły jej kąciaki ust. - Może to dlatego, że... nie jestem blondynką - zażartowała. - Wiem, że w szkole ma dobre kon-

takty z innymi dziećmi i już znalazła przyjaciółki. Przyjemnie patrzeć, gdy się razem bawią.

Po kolacji posprzątała i chciała iść na górę.

- Zostań jeszcze chwilę - poprosił Harry. - Chciałbym porozmawiać z tobą. Mamy tak mało czasu dla siebie i niewiele o sobie wiemy.

Laurie wyczytała w jego oczach szczerą prośbę, więc powiedziała:

- Dobrze, ale niezbyt długo, bo jestem zmęczona,

Przeszli do pokoju i usiedli na kanapie.

- Opowiedz mi coś o swoim dzieciństwie i wczesnej młodości - poprosiła. - Gdzie wtedy mieszkałeś i dlaczego postanowiłeś zostać chirurgiem?

Harry roześmiał się z cicha.

- Wyobraź sobie, że jestem tutejszy. Moi rodzice wychowali się na sąsiednich farmach w okolicy, a dziadkowie też pochodzili stąd. Każde wakacje spędzałem u jednych lub drugich dziadków, więc znałem praktycznie całą rodzinę. Rozwijałem się normalnie i, co też typowe, wciąż wybierałem inny zawód.

- Co ostatecznie wpłynęło na twoją decyzję?

- Chyba wypadek samochodowy, jaki widziałem we Włoszech, bo pomoc niesiona ofiarom pozostawiała wiele do życzenia. Wiesz, ludzie byli o krok od śmierci z upływu krwi, a nikt im nie pomagał. Wskoczyliśmy z samochodu i rzuciliśmy się na ratunek. Kilku rannym prędko zatamowaliśmy krew i opatrzyliśmy dwoje dzieci ze złamanymi kończynami. Wreszcie ktoś pomyślał, żeby wezwać policję i karetki. Lżej rannych sami zawieźliśmy do szpitala.

- To musiało być straszne przeżycie. Mam nadzieję, że nie śniło ci się po nocach.

- Parę razy śniło. Wyobraź sobie, że nawet otrzymaliśmy oficjalne podziękowanie za niesienie pomocy. Całe szczęście, że mieliśmy ze sobą dobrze zaopatrzoną apteczkę. Dwie ofiary niestety zmarły, ale lekarze byli przekonani, że kilku osobom uratowaliśmy życie.

- Teraz rozumiem, dlaczego musimy mieć taką dużą apteczkę i trzymać ją w wodoszczelnym pojemniku.

- Przezorność nigdy nie zaszkodzi. Kiedy postanowiłem studiować medycynę, doktor Callum, przyjaciel rodziny, orzekł, że mam ręce chirurga i chyba dlatego wybrałem tę specjalizację. Studiowałem tutaj, a potem jako lekarz wojskowy byłem w Niemczech i Waszyngtonie.

- Bardzo bogate życie.

- Teraz na ciebie kolej. Słucham twojej historii.

Mówiąc to, przysunął się do Laurie i ją objął.

- Miałam przeciętnie szczęśliwe dzieciństwo - zaczęła. - Ojciec bardzo interesował się historią tych stron, dużo wiedział i widział i często zabierał mamę oraz mnie na wycieczki krajoznawcze. Kiedy wytyczono szlak, o którym niedawno mówiliśmy, natychmiast poszliśmy z plecakami, jak rasowi turyści. Marszruta była taka długa, że ojcu z trudem starczyło wakacji na przejście w tę i z powrotem. A teraz samochodem można przelecieć tę trasę w parę godzin.

- Niebypałe! Szliście piechotą? Ile wtedy miałaś lat?

- Dziesięć albo jedenaste. Później, po skończeniu liceum, przyznano mi stypendium do szkoły teatralnej w Bostonie. Robiłam postępy, nawet zaczynałam dostawać drobne role, gdy poznałam Ralpha. Co z tego wyszło, wiesz. - Dopiero teraz zorientowała się, że siedzi przytulona do męża, z głową na jego ramieniu. - Nie zauważyłam, kiedy się do ciebie przysunęłam - rzekła zdziwiona

- Dobrze, że jesteś blisko, bo chcę ci powiedzieć coś bardzo osobistego i ważnego. Sukie uważa, że powinienem cię przeprosić za tamtą awanturę. Więc przepraszam. I zapewniam, że jesteś fantastyczną żoną i matką. Mówię szczerą prawdę, przysięgam.

Laurie spojrzała na niego zdumionym wzrokiem.

- Dlaczego córka musiała ci podpowiadać, żebyś mnie przeprosił?

- Bo sam nie widziałem, jaki ze mnie osioł - wyznał Harry ze skruszoną miną.

- Dlaczego wtedy tak wrzeszczałeś na mnie i nie dałeś mi dojść do słowa?

- Wstyd się przyznać, ale jak patentowany głupiec uwierzyłem w to, co mówiła Ann. Kiedy się odezwała, spojrzałem na nią, więc nie widziałem, że wyciągnęłaś topielca i go ratujesz. Kiedy znów popatrzyłem na ekran, stałaś w bieliźnie. Wpadłem w istny szal, że wszyscy widzą twoje piękne ciało, które powinno należeć tylko do mnie. Szczególnie, że właśnie tego popołudnia byliśmy tacy szczęśliwi.

Pocałował ją i zaczął pieścić. Laurie przymknęła oczy i momentalnie zapomniała nie tylko o swych zmartwieniach, ale i o całym świecie. Uszczęśliwiony Harry zaniósł ją do sypialni.

Obudziła się, gdy promienie słońca odbiły się od lustra i padły prosto na jej twarz.

- Już rano - westchnęła niezadowolona. - A tak dobrze mi się spało.

Nagle przypomniała sobie miłosne szaleństwo i z wrażenia usiadła. Harry'ego już nie było. Poczowała się jak Scarlett O'Hara po pierwszej nocy spędzonej z Rhettem.

- Tym razem to była niebiańska rozkosz - mruknęła, przeciągając się leniwie. - Oj, Harry, Harry, ale mnie omotałeś.

Otworzyły się drzwi i wszedł mąż z tacą, na której przyniósł śniadanie oraz dwie paşowe róże.

- Dzień dobry, królowo. - Postawił tacę, pochylił się i szepnął żonie na ucho: - Tej nocy nigdy nie zapomnę.

- Ja też. Chodź, zobaczymy, czy można takie szczęście powtórzyć.

- Proszę, jak się rozochociłaś! Ale najpierw musisz zjeść śniadanie. Ja już zregenerowałem siły porządną porcją kiełbasy, jajecznicy i kawy. Zjesz w łóţku?

- Tak. Będę udawać królową z bajki, obsługiwana przez wiernego paza. Która godzina?

- Południe - odparł Harry, całując ją w czubek nosa.

- Niemożliwe! Dlaczego nie obudziłeś mnie wcześniej?

- Żebyś miała siły mnie kochać? Wiesz, mamy nadal nie ma w domu, a Sukie zaprowadziłem do Harringtonów. Pójdzie z nimi do kościoła i zostanie na obiedzie.

Laurie oddała tacę.

- Dziękuję. Nie wiedziałam, że byłam taka głodna.

- A ja nie wiedziałem, że tak cię kocham.

Natychmiast zaczął obsypywać ją pieszczotami. Przez następną godzinę kochali się jak nigdy przedtem, a potem zasnęli spleceni w miłosnym uścisku.

Obudził ich telefon.

- Tak, to ja - powiedział Harry zaspanym głosem. Nagle usiadł i oprzytomniał, - Proszę jeszcze raz powtórzyć. - Zapisał coś w notesie. - Zaraz przyjadę. Proszę przygotować dużo gorącej wody i ręczniki. Jeżeli dziecko urodzi się przed moim

przyjazdem, proszę położyć je żonie na brzuchu. I niech pan cały czas trzyma żonę za rękę.

- Kto dzwonił? - spytała przestraszona Laurie. - Co się stało? Mogę w czymś pomóc?

- Możesz, jeśli ubierzesz się w dziesięć minut.

Ubrała się błyskawicznie i pobiegła wyprowadzić samochód. Przesiadła się, gdy przybiegł Harry z apteczką.

- Twoja pomoc może się przydać, bo wezwano mnie do porodu. Gdzieś nad Salomon Creek. Dom stoi na stoku. Mamy jechać około pięć kilometrów, do skrzynki pocztowej. Tam skręcić na boczną drogę pod górę. Pani McLeod ma ostre bóle porodowe. To jej pierwsze dziecko.

- Dlaczego mąż nie zawiózł jej do szpitala?

- Bo zepsuł mu się samochód, a w szpitalu akurat nie było żadnej karetki. Kazano mu dzwonić do mnie.

Dojechali do skrzynki i skręcili.

- Ale wąska droga - mruknął Harry.

- Dobrze, że nie ja prowadzę, bo nerwy by mi wysiadły.

- Zaraz będziemy na miejscu. Widzisz ten dom?

- No, jesteśmy wreszcie. - Laurie odetchnęła z ulgą. - Panie McLeod, przyjechaliśmy.

- Proszę przódzej, bo już widać główkę!

- Jest gorąca woda? - spytał Harry w biegu.

Położnica krzyczała wniebogłosy. Laurie wzięła ją za rękę i mocno trzymała. Harry zdążył odebrać dziecko, dużego chłopczyka.

- Już po wszystkim - ucieszyła się Laurie,

Harry otulił noworodka ręcznikiem i podał ojcu, mówiąc:

- Ten dzielny krzykacz nieraz da się państwu we znaki.

Rodzice zachwyconym wzrokiem wpatrywali się w pierworodnego. Zapukano do drzwi i weszła siostra Hart.

- Już mamy chłopca! - zawołał Harry.
- Doskonale. Jak się pani czuje?
- Trochę zmęczona, ale to nieważne, bo mam pięknego synka. Dziękuję państwu.

Laurie i Harry wrócili do domu z nadzieją, że dokończą przerwana drzemkę. Ledwo się położyli, usłyszeli gwałtowne stukanie do drzwi.

- Kto tam?! - krzyknął zirytowany Harry.
- To ja - odpowiedziała pani Michelson.
- Mamo, nareszcie jesteście! - ucieszyła się Laurie. - Zaraz się ubieramy i schodzimy. Bądź tak dobra i nastaw kawę.
- Już się robi, ale będzie także szampan.
- A to z jakiej okazji?
- Zaraz się dowiecie.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Mamo! Tato! Wróciłam! - krzyknęła Sukie, jak zwykle trzaskając drzwiami. Armanda powitała ją radosnym ujadaniem.

Sukie wzięła psa na ręce, pogłaskała i pocałowała w ucho. Następnie zajrzała do salonu i zawołała:

- Dzień dobry, babciu. Dzień dobry, panie Royce.

Pobiegła na górę i po chwili zeszła z rodzicami. Z przejęciem opowiedziała wszystkim, jak spędziła dzień.

- Ale mi było dobrze! Po kościele poszliśmy do McDonalda, a później w górę! Ile tam drzew! I woda leci prosto ze skały! Tato, musimy tam iść razem.

- Nie dam się dwa razy prosić. Wreszcie zrobiliśmy jaki taki porządek z dyżurami, więc doktor Crinden i ja będziemy mieć więcej czasu, przynajmniej teoretycznie, i możemy planować coś dla siebie,

Laurie zauważyła, że matka kilka razy otworzyła usta, jak gdyby chciała coś powiedzieć.

- Przestańcie paplać. O co chodzi, mamo?

Pani Michelson spojrzała na swego przyjaciela.

- Emmett, bądź tak dobry i przynieś szampana.

Dostrzegła zdziwienie, malujące się na twarzy córki, więc dodała:

- Chcemy coś ogłosić.



Pan Royce przyniósł tacę z kanapkami, kieliszkami i butelką szampana. Maybelle Michelson patrzyła na niego rozpromienionym wzrokiem:

- Mój drogi, lepiej ty im powiedz - szepnęła.

- Ja... tego... - Starszy pan chrząknął zakłopotany. - Otóż Maybelle i ja doszliśmy do wniosku, że idealnie do siebie pasujemy. .. Więc się oświadczyłem i zostałem przyjęty. I chcemy się pobrać.

- Mamo! - Laurie serdecznie ucałowała matkę. - Wspaniale! Tak się cieszę. Życzę wam szczęścia. - W jej oczach ukazały się łzy. - To wspaniała wiadomość. Wiem, że przyjaźniliście się jeszcze na uczelni...

Harry podał paniom chusteczki, a panu Royce'owi rękę i złożył mu szczerze gratulacje.

- Życzę panu niezmałconego szczęścia.

- Dziękuję, dziękuję. Czy zechce pan otworzyć butelkę? Jestem tak przejęty, że jeszcze ręka mi zadrży i rozleje.

Harry nalał szampana i wznosił toast:

- Zdrowie narzeczonych!

Laurie i Sukie gorąco ucałowały przyszłego ojca i dziadka.

- Kiedy będzie ślub? - spytała Laurie.

- Czy mogę być drużną? - zawołała przejęta Sukie.

- Wołałabym, żebyś niosła kwiaty.

- To jeszcze lepiej. Dziękuję. - Sukie ucałowała babcię.

- Jesteś najlepsza na świecie. Zostaniesz z nami, czy wyprowadzisz się do pana Royce'a?

- Przeprowadzę się, ale mam nadzieję, że będziesz często do mnie przychodzić. Będzie mi ciebie brakowało. Tak dobrze mi było z wami.

- Dla uczczenia zaręczyn zapraszam wszystkich na kolację

w Johnson City - rzekł Harry. - Ale czy przyjęcie weselne moglibyśmy urządzić w domu? - spytał, patrząc na żonę.

- Oczywiście. W domu przyjemniej niż w lokalu.

- Nie tak prędko, nie bądźcie w gorącej wodzie kąpani - mitygował ich pan Emmett. - Jeszcze nie powiadomiliśmy rodziny.

- To błąd, który można łatwo naprawić. Zaraz pojedziemy do mojego brata Arnolda - zdecydowała pani Michelson. - Później spotkamy się w restauracji, dobrze?

- Oczywiście - powiedziała Laurie, a po wyjściu matki i pana Emmetta dodała: - Ale dzień! Samo szczęście, prawda?

- Tak, najdroższa.

- Tato, o jakim szczęściu mówicie?

- Po pierwsze, posłuchałem twojej rady, przeprosiłem mamę. i jestem w siódmym niebie, bo mi przebaczyła.

- A widzisz, mówiłam.

Sukie ucałowała ojca z dubeltówki.

- Co jeszcze?

- Pojechaliśmy do pacjentki, która urodziła chłopczyka.

- Jak mu na imię?

- Nie wiemy, bo zaraz po porodzie wyjechaliśmy. A na ukoronowanie dnia taka wiadomość.

- Babcia bierze ślub!

- Tak, ale to za tydzień albo dwa - ostudziła ją matka. - Na razie jedziemy na uroczystą kolację do restauracji. Przygotuj tornister na jutro i umyj się. To specjalna okazja, więc włóż tę nową różową sukienkę.'- Przez ramię spojrzała na męża. - Idziesz z nami?

- Przyjdę za chwilę.

Laurie poszła się umyć i przebrać. Z trzech nowych sukni

wybrała jedwabną w kwiaty, z kloszową spódnicą. Rozpierała ją radość, więc wesoło pogwizdywała i uśmiechała się do siebie. Kończyła się myć, gdy do łazienki wszedł Harry.

- Wyszorować ci plecy?
- Nie mamy czasu na figle.

Harry owinał ją ręcznikiem i zaniósł do łóżka.

- Na takie figle zawsze musi być czas.

Pół godziny później pojechali do restauracji, w której czekała już pani Michelson z narzeczonym.

- Przepraszam, że się trochę spóźniliśmy - powiedziała Laurie. - Mamo, jak wuj Arnold zareagował na rewelacje?

- Chyba szczerze się ucieszył i życzył nam szczęścia.-

- Laurie, a jak ty zapatrujesz się na powtórne małżeństwo mamy? - nieśmiało zapytał pan Royce.

- Jestem zachwycona. Choćby dlatego, że wszyscy się z tego cieszą. - Rozejrzała się po sali, z uznaniem kiwnęła głową i dodała: - Bardzo ładny lokal, prawda?

Pani Michelson z uśmiechem spojrzała na zięcia.

- Mój drogi, nie mogłeś wybrać lepiej. - Zerknęła na narzeczonego i rozpromieniła się. - Kiedy Emmett mi się oświadczył, też tu przyjechaliśmy.

- To zbieg okoliczności na szczęście. Wasze i nasze.

Harry spojrzał na Laurie.

- My właśnie wyjaśniliśmy pewne nieporozumienie i też mamy co świętować.

Sukie była tak przejęta, że wyjątkowo prawie nic nie mówiła przez cały wieczór, a w samochodzie zasypiała.

Kiedy weszli do sypialni, Laurie westchnęła:

- Wprost nadzwyczajny dzień, tyle szczęścia naraz. Jak w bajce. Ciekawe, co z noworodkiem?

- Jeśli znajdę trochę czasu, pojedę zobaczyć.
- Chętnie się z tobą zabiorę.
- Dobrze, kochanie, ale teraz idziemy spać. Jutro poniedziałek, więc zaczynają się obowiązki. Ty też idziesz do szpitala, prawda?

- Tak. Atak woreczka żółciowego.
- Może skierują cię na operację do mnie? - zażartował Harry. - Oj, jestem tak zmęczony, że chcę tylko przytulić się do ciebie. Dobranoc, ukochana.

Zasnęli, ledwo przyłożyli głowy do poduszki.

Laurie wysłała Sukie do szkoły i przysiadła na najbliższym krześle.

- Dlaczego jestem taka ospała? Jak kobiety radzą sobie z kilkorgiem dzieci? - zastanawiała się głośno.

Przypomniała sobie dziecko McLeodów, potem własne i łzy stanęły jej w oczach. Nie zauważyła, kiedy wszedł Harry.

Mąż wziął ją w ramiona, przytulił i szeptał kojące słowa. Nie rozumiała, co mówi, lecz z wolna się uspokoiła.

- Serce moje, co ci jest?
- Myślałam o dzieciach... O Sukie, dziecku McLeodów i o moim ukochanym Dannym... Był taki rozkoszny i śliczny. Wiem, że każdej matce jej dziecko wydaje się najpiękniejsze, ale mój synek naprawdę miał dużo wdzięku. I w taki straszny sposób umarł. Nie mogę sobie wybaczyć, że go nie uratowałam. Gdybym go wcześniej wyciągnęła spod płaszcza...

Tym razem opowiedziała dokładnie, jak doszło do tego, że dziecko zmarło. Mówiła urywanym głosem, zanosząc się od płaczu.

- Cicho, skarbie, cicho, uspokój się. To było dawno i minęło.

Wiadomo, że nigdy nie zapomnisz synka, ale musisz przestać oskarżać się o jego śmierć. Przecież nic nie zawiniąłeś.

Laurie wytarła oczy i nos.

- Może masz rację. Postaram się pamiętać, że nic nie mogłam zrobić... Dlaczego jesteś w domu? Wyrzucili cię z pracy?

- Na razie nie. Ale poczułem dziwny niepokój i musiałem przyjechać. Widzę, że dobrze zrobiłem.

- Przepraszam, że się rozkleiłam. Nie wiem, dlaczego czasami nie mogę się pozbierać.

- Przestań dręczyć się przeszłością. Są rzeczy, na które nie możemy nic poradzić...

- Postaram się.

- Trzymam cię za słowo. Jadłeś śniadanie?

- Nie, jakoś nie mam apetytu.

- Chodź, dam ci sok pomarańczowy i przygotuję owsiankę. Chyba że wolisz coś innego.

- Umiesz gotować?

- Nie umiem, ale mogę spróbować. Tylko muszę się spieszyć, bo mam operację.

- To wracaj do szpitala. Mnie nic nie będzie. Zaraz coś zjem i zabiorę się do pracy.

'- Tylko się nie przemęczaj, kochanie. Dbaj o siebie.

- Staram się jak mogę.

Wieczorem pani Michelson powiedziała im, co uzgodniła z narzeczonym.

- Ponieważ oboje bierzemy ślub po raz drugi, zdecydowaliśmy się na cichą uroczystość. Zaprosimy jedynie najbliższą rodzinę.

- Więc przyjęcie może być w domu, tak?

- To byłoby najlepsze i najprzyjemniejsze rozwiązanie. Policzmy, ile będzie osób. My i Arnold z rodziną, razem dziesięć. Troje z rodziny Emmetta, to trzynaście. Czy możemy zaprosić jeszcze dwie, trzy zaprzyjaźnione osoby?

- Oczywiście.

Pan Royce chrząknął i lekko się zaczerwienił.

- Ja kupię alkohol, a moja gospodyni chętnie pomoże przy gotowaniu i pieczeniu.

- Czyli sprawa załatwiona. Zaangażujemy tylko kelnerów. Mamo, kiedy chcecie wziąć ślub i gdzie spędzicie miodowy miesiąc?

- Postanowiliśmy jechać do Kanady, a najlepszy samolot jest o wpół do trzeciej. Dlatego ślub powinien odbyć się jak najwcześniej rano.

Pani Michelson przerwała, aby napić się herbaty.

- Chcemy prosić pastora - rzekł pan Royce - żeby udzielił nam ślubu w piątek o dziewiątej rano. Potem przyjedziemy tu na weselne śniadanie i przed dwunastą możemy wyruszyć na lotnisko. Dzięki temu zdążymy na ten samolot bez przesiadki.

- Czyli zostało niewiele czasu. Mamo, czy chcesz, żebyśmy z Delią i panią Hetti przewiozły twoje rzeczy do nowego domu?

- Oj, byłabym wam wdzięczna do grobowej deski. Sama i tak nie dałabym rady.

- Czy i ja mogę coś zaproponować? - spytał pan Emmett.  
- Uważam, że wam też należy się miodowy miesiąc. Moglibyście wyjechać po naszym powrocie, bo chętnie weźmiemy Sukie do siebie. Odpowiada wam?

- Spełniłoby się moje marzenie - odparł Harry. - Jednak za

krótko tu pracuję, żeby brać urlop. Mimo to dziękuję, że chcecie zaopiekować się moją córką.

W piątek od samego rana świeciło słońce, co wróżyło szczęście nowożeńcom. W kościele Harry przyglądał się wchodzącym i ich uszczęśliwionym twarzom.

Dopiero tutaj uświadomił sobie, jakim błędem był pośpieszny ślub z Laurie. Teraz żałował, że nie zadbał o odpowiednią oprawę. Pomyślał z goryczą, że to jest nie do odrobienia. Choć tak doskonale potrafił naprawiać ludzkie ciała, był absolutnie bezradny wobec popełnionych własnych błędów.

Sukie szła przed babcią i mamą i sypała im pod nogi płatki róż. Laurie delikatnie stąpała po kwiatach i myślami wróciła do swojej młodości. Kiedyś marzyła, że jest piękną królową, którą okrutna i zazdrosna macocha uwięziła w wieży zamkowej. Pewnego dnia obok wieży przejeżdżał królewicz na białym rumaku, zobaczył królową i ją uwolnił. Laurie drgnęły kąciki ust, gdy uświadomiła sobie, że nigdy nie była w szponach złej macochy. Za to ten, który do niej przyjechał, chociaż nie królewicz i bez rumaka, ocalił i ją, i jej dom rodzinny.

Po ceremonii Harry złożył nowożeńcom serdeczne życzenia i pojechał do szpitala. Goście obsypali ich confetti, płatkami kwiatów i całymi różami.

W domu wypito toast i błyskawicznie zjedzono kanapki, po czym nowożeńcy pokroili tort weselny. Przyjęcie trwało ponad dwie godziny. Po odjeździe ostatnich gości Laurie, Delia i Hetti usiadły, aby trochę odpocząć.

- Co teraz robimy? - zapytała Sukie, podniecona i nadal pełna energii.

- Zrobię ci jeszcze jedno zdjęcie, a potem zdejmiesz sukienkę.

- Nie chcę! - krzyknęła mała elegantka i się nadała. - Muszę pokazać ją Polinie i Lou Ellen, bo mi nie uwierzą, że tak ładnie wyglądałam.

- Radzę ci się przebrać, bo jeśli ubrudzisz sukienkę, nie będzie już taka ładna. Więcej jej nie włożysz i wtedy nikt nie będzie cię podziwiał - argumentowała Laurie.

- A jak zostanie czysta, to będę mogła chodzić w niej do kościoła?

- Oczywiście. Idź się przebrać, bo przydasz się przy sprzątniu jadalni i salonu.

Sukie pobiegła na górę w towarzystwie wiernej Armandy, którą po kilku godzinach wypuszczono wreszcie z piwnicy.

Tydzień później odbyło się przedstawienie. Harry niestety miał operację i nie mógł obejrzeć sztuki. Państwo Royce'owie oddali bilety wujowi Arnoldowi i jego córce.

- Sprzedałam tylko dwadzieścia cztery bilety - smuciła się Sukie. .

- Nie przejmuj się — pocieszyła ją matka. - Ja kiedyś sprzedałam tylko trzy, które w dodatku kupił mój własny ojciec. Spisałaś się o wiele lepiej ode mnie.

Uczniowie tak realistycznie wystawili sztukę, że widzowie z łatwością wyobrazili sobie trudy osadników. Dla Sukie wszystko było bardziej zrozumiałe dzięki temu, że niedawno zwiedzała chatę z tamtego okresu i na własne oczy widziała, jak osadnicy mieszkali i żyli. Po zakończeniu sztuki postanowiła, że zostanie aktorką.

Według niej przedstawienie skończyło się za prędko, lecz i



tak wróciły do domu dopiero przed jedenastą. Harry siedział w gabinecie obłożony fachowymi czasopismami. Laurie pomogła sennie córce rozebrać się i położyć. Potem z mężem wypili czekoladę i też poszli spać.

W sobotę Laurie znowu zasnęła i z trudem wstała. Czowała się bardzo nieswojo, więc pomyślała, że nabawiła się grypy. W kuchni zastała Sukie z książką, którą jej niedawno kupiła.

- Dzień dobry, mamó. Tatuś nie pozwolił mi ciebie budzić. Czekolada jest gotowa.

- Dziękuję, córeczko. - Laurie usiadła przy stole i oparła głowę na złożonych rękach.

- Co ci, mamusi? Źle wyglądasz.

- Boję się, że złapałam grypę. Zrobisz sobie śniadanie? Mnie jakoś niedobrze.

Poszła położyć się na kanapie. Sukie okryła matkę kocem i zadzwoniła do Delii.

- Dzień dobry. Mama mówi, że złapała grypę. I leży na kanapie. Co mam robić?

- Na razie nic. Nie martw się. Zaraz przyjdę i zobaczymy, o co chodzi.

- Dziękuję.

Delia przybiegła zadyszana.

- Jak się pani czuje? - spytała, kładąc rękę na czole Laurie.  
- Temperatury nie ma.

- Widocznie zaszkodziły mi emocje, których ostatnio było sporo. Muszę odpocząć.

- Napije się pani kawy?

- Nie, sam zapach mnie odrzuca.

Delia roześmiała się wesoło.

- Sukie, zabierz kawę i idź pościelić łóżko. Mamie nic nie jest, ale chwilę z nią zostanę.

- Dobrze.

Po wyjściu dziecka powiedziała:

- Jesteśmy same, więc możemy swobodnie rozmawiać. Od kiedy pani tak się czuje?

- Parę dni. Delia! Czy myślisz, że...?

- Tak mi się wydaje. Jeśli pani chce, przyniosę z domu test.

Kwadrans później Laurie wybiegła z łazienki rozpromieniona.

- Masz rację. Że też sama na to nie wpadłam. - Objęła Delię i ucałowała. - Dzięki.

- Drobiazg. I życzę wszystkiego najlepszego.

Gdy Sukie weszła do kuchni, Laurie jadła krakersy i piła herbatę.

- O, już lepiej się czujesz?

- Wiesz, wcale nie jestem chora. Mam dobrą wiadomość, ale tatuś musi usłyszeć ją pierwszy.

Sukie obojętnie wzruszyła ramionami.

- Mama Poliny źle się czuje, bo będzie miała dziecko. Ty też, mamusiu?

- Chyba tak. Chcesz mieć siostrzyczkę albo braciszka?

- Nie wiem... Rodzeństwo moich koleżanek czasem jest okropne. Maluchy nam przeszkadzają, wydzierają sobie zabawki i wrzeszczą. Kiedyś chciałam mieć siostrzyczkę, ale tata mówił, że to niemożliwe.

- Na razie nikomu nie powiemy.

- Nawet babci?

- Babci tak.

- Mogę już iść się bawić?

- Tak, ale pamiętaj, ani mru, mru.

Nazajutrz Laurie znowu zasnęła. Obudziła się, gdy Sukie przyniosła herbatę i krakersy. Poprzedniego dnia nie zdażyła przekazać mężowi radosnej nowiny, a teraz bała się, że będzie niezadowolony.

Harry nie poszedł z nimi do kościoła, ponieważ miał dyżur i nie chciał, aby telefon komórkowy zadzwonił podczas nabożeństwa. Po powrocie żony i córki nadal był wolny, więc zaprosił je na lunch do restauracji. Wezwano go do szpitala, gdy zamawiał deser, więc natychmiast pojechał.

Laurie i Sukie po zjedzeniu deseru poszły do kina.

Minał tydzień, podczas którego Laurie nie miała okazji powiedzieć mężowi, że zaszła w ciążę. W sobotę rano Harry i Sukie spotkali się w kuchni.

- Dzień dobry, tato. Mama też już idzie?

- Nie, bo jeszcze śpi. Zjemy śniadanie, a potem jej zanieśmy. - Zabrał się do smażenia jajeczniczy. - Jak lekcje? Dostałaś jakieś dobre oceny?

- Nasza pani jest ze mnie zadowolona. Mam same celujące stopnie.

- To świetnie. Jesteś szczęśliwa?

- Tak. Bo oprócz ciebie mam mamę i babcię. I dobre koleżanki i kolegów. A ty jesteś szczęśliwy, tatusiu?

- Bardzo. Mam niezłą pracę, wspaniałą żonę i dobrą teściową. Oraz córkę, z której mogę być dumny. Nic więcej mi nie trzeba do szczęścia.

Sukie usiadła mu na kolanach.

- Kocham cię, tatusiu.

- Ja też bardzo kocham moją śliczną córeczkę.
- To dobrze. A teraz zrobimy śniadanie dla mamy. - Sukie zeskoczyła z kolan ojca. - Najpierw herbata.
- Od kiedy to mama pije herbatą?
- Od kiedy przeczytała, że kofeina szkodzi - wymyśliła Sukie na poczekaniu.

Ukradkiem, za plecami ojca, wyjęła z puszki krakersy i wybiegła z kuchni. Harry wziął tacę z obfitym śniadaniem i zaniósł na górę.

- Słodki śpiochu, pobudka!
- Mamusiu, przynieśliśmy śniadanie.
- Dziękuję wam, kochani - powiedziała Laurie, nie otwierając oczu.

Sukie zaczęła podawać jej kawałki krakersów i przez słomkę poić herbatą. Harry patrzył, nie wierząc własnym oczom, wreszcie wyszedł do łazienki. Chciał się zastanowić, co ta cała komedia oznacza. Stał przed lustrem i wyszczerzył zęby w radosnym uśmiechu.

- Chyba znowu będę ojcem - mruknął. - Ale dlaczego to taka tajemnica?

Wyrzwał z łazienki. Sukie szepnęła coś matce na ucho i Laurie powoli usiadła. Harry wszedł do sypialni.

- Jesteś gotowa?
- Tak, kochanie, już jem.
- Oj, widzę, że jajecznicza wystygła - rzekł mąż dyplomatycznie. - Pójdę odgrzać.

Wychodząc, zauważył, że Laurie odetchnęła z ulgą.

Przed południem wybrali się na wycieczkę. Harry cały czas uśmiechał się pod wąsem, a Laurie ciągle się zastanawiała,

jak i kiedy powiedzieć mu o spodziewanym potomku. Nie znalazła okazji. Po kolacji Harry zaproponował spacer koło domu.

Gdy wyszli, Laurie nagle wyrecytowała jednym tchem:

— Jaki piękny wieczór! Och, Harry, jak ja cię kocham! Wiesz, będziemy mieć dziecko.

- Wiem. Zastanawiałem się, kiedy mi wreszcie powiesz. Nawet Sukie wiedziała wcześniej ode mnie. Ukochana, najdroższa, jedyna, jesteś moim szczęściem i całym światem.

Objął ją i delikatnie pocałował.

## EPILOG

Po nabożeństwie, gdy wszyscy stali przed kościołem, Laurie szepnęła:

- Wigilia Bożego Narodzenia jest najpiękniejszym dniem w roku.

- A dzisiejsze nabożeństwo było wyjątkowo uroczyste - powiedziała jej matka. - Grano i śpiewano moje ulubione kolędy. Chór przeszedł sam siebie, prawda? Neil ma krystalicznie czysty głos.

- Dlaczego chłopcy o tak anielskich głosach są takimi diabłami? - spytała Laurie, uśmiechając się pobłażliwie.

Wrócili do domu sami, ponieważ państwo Royce'owie poszli do siebie. Położyli córkę spać i gdy zasnęła, Laurie powiedziała półgłosem:

- Chyba już mogę przynieść pończochę z podarunkami, co? Owinęłam ją w plastik i schowałam w koszu z brudną bielizną, bo Sukie myszkowała po całym domu. - Zaśmiała się z cicha i po chwili wróciła z pończochą, którą zawiesiła przy łóżku. - Chodź, teraz rozłożymy nasze prezenty pod choinką.

Upominki leżały w gabinecie, od kilku dni zamkniętym na klucz. Kiedy ułożyli podarki pod choinką, Laurie z zachwytem popatrzyła na kolorowo ustrojone drzewko. Harry przyniósł dwa kieliszki advocata, którego przygotował pod dyktando teściowej.

- Zdrowie najpiękniejszej mieszkanki Południa!

- Uważaj, bo zrobię się zarozumiała. - Laurie spróbowała advocata. - Wyborny.

- Przygotowałem wedle instrukcji twojej matki, która mnie pilnowała, ale nic nie pomagała. - Harry odstawił kieliszek i wyjął z kieszeni kopertę. - Jest już po północy, więc mogę ci wręczyć dowód mego uczucia.

Laurie drżącymi rękami rozerwała kopertę i wyciągnęła... umowę. Zakłuło ją serce, ponieważ przeraziła się, że Harry postanowił się wycofać.

- Jak mam to rozumieć? - szepnęła zbielełymi wargami.

- Najdroższa, nie zauważyłaś, że minęły trzy miesiące? Umowa się kończy, ale mam nadzieję, że nie nasze szczęście. Chyba miłość zwyciężyła i podrzesz ten dokument. Chcę, żeby nasze małżeństwo było prawdziwe i na wieki. Szczególnie, że niedługo będziemy mieli dziecko.

- Jedyny, przecież wiesz, jak bardzo cię kocham.

Podarła umowę na drobne kawałki i rzuciła się mężowi na szyję.

- Och, Laurie, Laurie... To najwspanialszy prezent dla mnie. Tylko nasza miłość się liczy.

- A co z moim prawem do przedłużenia umowy po czterech latach? - zażartowała.

- Masz je nadal, ale ja chętnie od razu przedłużę na co najmniej czterdzieści. Masz coś przeciwko temu?

- Nic a nic. Może być i na sto lat - odparła bez chwili wahania.